

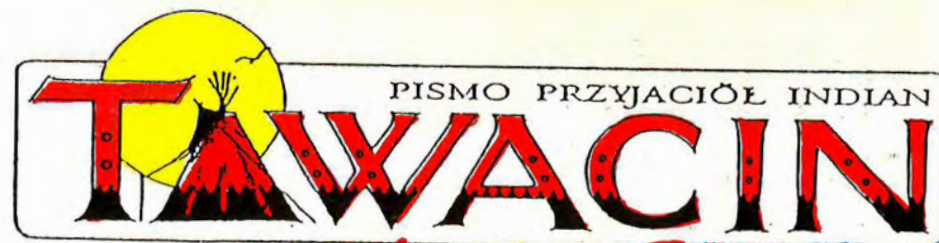
N. SCOTT MOMADAY

przełożył
MAREK MACIOLEK

PIEŚŃ ZACHWYTU TSOAI-TALEE

Jestem piórkiem na pogodnym niebie
Jestem błękitnym koniem biegnącym na prerii
Jestem rybką, która polyskując pływa w wodzie
Jestem cieniem biegnącym za dzieckiem
Jestem wieczornym światłem, poświęcającą łąk
Jestem orłem igrającym z wiatrem
Jestem garścią różnobarwnych paciorków
Jestem najdalszą gwiazdą
Jestem chłodem poranka
Jestem łoskotem deszczu
Jestem błyskiem na śnieżnej grudzie
Jestem długą ścieżką księżycą na jeziorze
Jestem czterobarwnym płomieniem
Jestem jeleniem skrywającym się w mroku
Jestem sumakowym polem i pomme blanche
Jestem kluczem gęsi na zimowym niebie
Jestem głodem młodego wilka
Jestem pełną wizją tego wszystkiego

Widzisz, żyję, żyję
Zyję w jedności z ziemią
Zyję w jedności z bogami
Zyję w jedności ze wszystkim, co piękne
Zyję w jedności z córką Tsen-tainte
Widzisz, żyję, żyję



JESIEŃ 1993

NR 3 (23)



Jak widać spotykany się znowu i to w coraz bardziej kolorowych okładkach, choć nie takich, jakie by nam się marzyły. Z tego też powodu nie jesteśmy w stanie drukować, tak bardzo chcianych przez Was, kolorowych fotografii Indian, nawet jako wkładki. Drakuje nam po prostu sponsora. Mamy jednak nadzieję, że kiedyś te problemy się skończą i razem będziemy cieszyć się bajecznie kolorowym światem Indian.

Nie zawsze jednak jest on tak kolorowy o czym świadczy chociażby nasz cykl poświęcony współczesnej sytuacji Indian z Ameryki Południowej czy historia powstania Ruchu Indian Amerykańskich (AIM - American Indian Movement). "Droga do nadziei" również nie była tak kolorowa, czasy Tecumseha podobnie. Cała ich historia i współczesna sytuacja jawi nam się w czarnym kolorze. Ten numer TAWACINU też jakiś czarny. Piszemy o Czarnej Sukni, Czarnych Stopach i wpływie czarnej muzyki na ich młodzież, piszemy też o czarnej ropie. Mimo to świat Indian (przez białych zaliczani w końcu do kolorowych), ich własny świat i wytwory tego świata mieniają się wszystkimi barwami tęczy. Ale tak nie jest, gdy się tylko patrzy, tak jest gdy się widzi, czego życzymy wszystkim naszym wiernym, i nie tylko, czytelnikom.

Ale patrzeć czy widzieć to kwestia filozoficzna. Obejrzeć jednak zawsze można. "Jak zdobyto Dziką Zachód" to tytuł cyklu kilkunastu westernów prezentowanych w naszej telewizji. W ostatniej chwili dowiedzieliśmy się kilku szczegółów, co do dat prezentowanych filmów. I tak, poza tymi, które już były, polecamy: "Niebieski Żołnierz" (11.XII.br.), "Złamana Strzała" (8.I.1994), "Ostatnia walka Apacza" (29.I.1994) i "Jesień Szejenów" (2.II.1994).

Wracając jednak do kolorów; już przy oglądaniu "Małego Wielkiego Człowieka" czarno zrobiło mi się przed oczami, dlatego czarno widzę ten cały cykl. Obejrzenie w dzisiejszych czasach tak pocięty film, to naprawdę rzadkość. Brakowało w nim 22 minut, na które składały się precyzyjnie usunięte z filmu dziesiątki małych kawałeczków obrazu i tekstu, co zmieniało niekiedy właściwą treść filmu. Ciekawe komu, dzisiaj, na tym zależy?

Redaktor Naczelny

Spis treści:

- Indianie o swoim nacjonalizmie.....	3
- jak powstał AIM.....	11
- jaki właściwie był Tecumseh.....	16
- wywiad z Longinem Janem Okoniem autorem m.in. trylogii o Tecumsehu..	21
- poezja Barneya Busha Indianina Shawnee-Cayuga.....	26
- relacja z literackiego Festiwalu "ODWZAJEMNIĆ DAR".....	29
- sprawozdanie ze Światowej Konferencji Praw Człowieka.....	30
- o ludobójstwie w Ekwadorze.....	33
- o piaskowych malowidłach.....	36
- indiańska kuchnia.....	38
- o indiańskich konsulach.....	40
- Czarne Stopy i czarna muzyka.....	46
- i inne	

TAWACIN jest pismem polecanym przez Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Indian skr. poczt. 4, 15-472 Białystok 21

Podziękowania:

za koperty: tradycyjnie już Staś Lewandowski oraz Krąg Przyjaciół Indian ze Śląska.

za materiały i tłumaczenia: Tomek Chodorowski, Leszek S. Cyryłowski, Daria Friedrich, Tomek Goranin, Marek Hyjek Paweł Kochankiewicz, Henryk Krawczyk, Waldemar Kuligowski, Magda Łukasik, Andrzej Pankalla, Małgorzata Sawicka i Małgorzata Tonczyk.

Osobne podziękowania dla TOMASZA GRZESKOWIAKA i MACIEJA LEWANDOWSKIEGO za nieocenioną komputerową pomoc przy składzie, co każdy może już zobaczyć.



Ukazuje się w marcu, czerwcu, wrześniu i grudniu

Redaguje zespół:

Wiesław Karnabal (redaktor naczelny) Marek Maciołek i Marek Nowocień

Stale współpracują: Roman Bala, Marek Cichowski, Wiesław Kołeczek, Mirosław Sulgostowski

Adres redakcji: Dąbrowa, ul. Szkolna 9 62-069 Palędzie

Wydawca: TIPI s.c. ul. Łąkowa 3, 64-050 Wielichowo

Druk: Zakład Usług Poligraficznych WI-MARK, Kalisz, ul. Czereśniowa 10

Anderson Dirthrower

DROGA DO NADZIEI

O indiańskim nacjonalizmie

Nacjonalizm to zjawisko, które jak sądzę Amerykanom jest bardzo trudno zrozumieć, a zwłaszcza młode pokolenie ma trudności z jego przyswojeniem. W ubiegłym tygodniu [1972 - red.] przysłuchiwałem się dyskusji o strajku w szkole średniej. Spiker usiłował nadać temu posmak ruchu społecznego - jak powstaje pierwsza iskra, jaką rolę odgrywają emocje oraz nadzieja.

Oczywiście wszystko wiąże się z ruchami społecznymi, a głównie z ruchami nacjonalistycznymi. Rzecz nie tylko w tym, że ludzie z ruchów nacjonalistycznych dokonują od nowa oceny swej sytuacji. Nacjonalizm to wędrówka - od zastraszenia do nadziei.

O tym właśnie chcę dziś mówić. Chcę opowiedzieć, co to znaczy być Indianinem, jak mi się z tym żyło przez ostatnie czterdzieści pięć lat. Będzie to dla mnie bardzo bolesne.

Muszę okazać trochę cierpliwość, jeśli zacznę się jękać, gdyż niektóre sprawy, które chcę przypomnieć nie są przyjemne. Bardzo trudno mi mówić o nich publicznie. Chcę jednak spróbować przekazać wam choćby zarys tego, jak żyje się w strachu, jak żyje się w rozpacz i jakie znaczenie ma nadzieja. Spróbuję to omówić na przykładzie zdarzeń z mego własnego życia.

Większość z was zapewne wie, że nie tak dawno temu Indianie byli suwerennymi ludami - suwerennymi, niepodległymi ludami, które zamieszkiwały tę ziemię. Wasi przodkowie przybyli do tego kraju i odtąd już nie byliśmy suwerenni i niepodlegli. Zostaliśmy podbici i to w dość osobliwy sposób. Byliśmy podbijani wcale o tym nie wiedząc, aż pewnego ranka przebudziliśmy się i uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy podbici.

Najpierw zawarliśmy coś, co wydawało nam się honorowym pokojem z ludźmi, którzy nas najeżdżali. Później zawariliśmy z nimi umowę - honorową umowę. A po zawarciu



tych wszystkich umów zbudziłem się pewnego ranka żeby odkryć, że nie jesteśmy już suwerennymi, niepodległymi ludami, że to nie jest już nasz kraj, że jest to kraj ludzi, którzy nas najechali. Wydaje mi się, że nigdy tego nie zapomnieliśmy.

Nie możemy zapomnieć, że "wczoraj" byliśmy suwerenni i niepodlegli. Pojawiają się tutaj dwie strategie: Pierwsza: żyjemy w rezerwach, gdzie nasze życie kontrolowane jest przez biuro federalne, gdzie każdym elementem naszego losu kierują ludzie z rasy, która nas najechała, która nas przejęła. Druga: żyjemy na terenie stanów, gdzie nie ma ziemi dla Indian, gdzie żyjemy rozproszeni wśród reszty społeczeństwa, gdzie nie mamy własnych skupisk i gdzie nasz los spoczywa beztrako w rękach naszych białych sąsiadów, którzy nie są naszymi przyjaciółmi.

Większość Indian z mego pokolenia uświadomiła sobie ten fakt na drodze bardzo bolesnego procesu. Spróbuję wam o tym trochę opowiedzieć, tylko trochę...

Gdy byłem małym chłopcem, wydawało mi się, że na świecie są tylko ludzie. Niektórzy z nich umieli mówić jakimś indiańskim językiem, niektórzy nie - mówili tylko po angielsku. Nie rozumiałem tego ani trochę, ale nie przejmowałem się tym. Do pewnego stopnia. Wiedziałem, że jestem Indianinem i gdy szedłem do kina, oglądałem tam ludzi zwanych Indianami. Mieli na głowie pióropusze, biegali dokoła wydając śmieszne okrzyki i wprowadzając ogólne zamieszanie. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że to mogą być ja albo ktoś z mojej rodziny. Były to "złe charaktery".

Pewnego dnia (mieszkałem z dziadkami) przyjechała z miasta moja matka, gdzie miała pracę, i powiedziała:

- Jeśli będziecie mieli okazję, to idźcie na najnowszy film pod tytułem *Chief Massacre*.

Któregoś dnia dowiedzieliśmy się, że w pobliskim mieście mają właśnie grać ten film. Było to w czasach Wielkiego Krachu, liczyłem wtedy z siedem lat i miałem wujka o imieniu "Dym". Czasy były ciężkie, ale wujek Dym zawsze miał pieniądze. Był wielkim graczem, ujeżdżał dzikie konie, hodował psy i pił dobrą

whisky. Lubie żądać kobiecy. Zawsze miał pieniądze. Co sobotę wracał do domu kompletnie urżnięty. Na miłe słychać było jego śpiewy i strzały z pistoletu. Wjeżdżał na podwórze i zwał się z konia. Czasami udawało mu się podnieść o własnych siłach. Otóż wtedy wujek dał mi dziesiątka na kino. W czasach Krachu to była wielka rzecz mieć dziesięć centów na kino. Babcia założyła czysty czepek (kobiety na Południu nosiły wtedy czepki) i poszliśmy pieszko kilka mil do miasta na seans.

Film opowiadał o Indianinie, który był kierownicą rajdowym. Właśnie umarł jego ojciec, dziedziczny wódz plemienia. Nowym wodzem został więc jego syn, rajdowy kierowca. Z rezerwy przybyli Indianie i powiedzieli mu, żeby wracał do domu. To rozumiałem - Indianin jeżdżący samochodem rajdowym; żadnych tam przytupanki i gęśkich piór. Rozumiałem, kim był.

Wrócił do domu i od razu wdał się w spór z wytworną filmową, wykorzystującą Indian. Potem zadarł z paroma farmerami, którzy bez pozwolenia wypasali bydło na indiańskiej ziemi. Miał charakter wojującego liberała i wkrótce popadł w tarapaty. Kiedy wykorzystał białą dziewczynę, biali sąsiadzi wpadli w szal. Tak wyładował w więzieniu. Na końcu filmu tłum usiłował sforsować drzwi więzienia, żeby go zlinczować. Udało mu się jakoś z tego wybrnąć, ale ta scena naprawdę mnie przeraziła.

Już później pytałem babcię: - Co oznacza ten film? Nie rozumiałem go.

Babcia miała niewielkie wykształcenie i ledwie mówiła po angielsku. Wzięła mnie do kina bo to ja chciałem iść, a ona tylko siedziała i obserwowała konie. W soboty zwykle grano filmy kowbojskie, gdzie było pełno dobrych koni, więc ona tylko im się przyglądała.

- Ja też nie rozumiałem tego filmu - odpowiedziała. Poszliśmy do domu i zaczęliśmy, aż wrócił dziadek, po czym ona opowiedziała mi o filmie i na koniec zapytała: - Co znaczy ten film? Wyjaśnij to temu chłopcu.

A on odpowiedział: - Ten film oznacza, że biały człowiek jest przeciwko Indianom.

Chłopaki, to mnie przeraziło!

W następną sobotę poszliśmy do miasta i trzymałem się cały czas blisko babci. Wmieściło było wielu białych. Zobaczyłem tam wujka, jednego z wujków, i pytałem: - Ilu Indian jest na świecie?

- Och, zaledwie garstka. Za to białych jest o wiele więcej.

Po raz pierwszy w życiu odkryłem, że białych jest dużo więcej niż Indian. Gdy dorastałem odkrywałem to coraz częściej.

Gdy dorosłem, przygotowywano mnie do zostania indiańskim kaznodzieją. Zwykle przynosiłem drewno do ogniska i słuchałem jak starzy ludzie opowiadali o powstaniu świata, jak Bóg stworzył, całą tę wyspę zwaną Północną Ameryką, pośrodku której umieścił Indianina. Miał to być jego kraj, w którym by żył dzięki jeleniom i ziemi. Ziemia nie była jego własnością, Bóg jakby mu ją tylko wypożyczył. Indianin miał się troszczyć o nią jak o rodzoną matkę. Tak powinniście traktować ziemię. Patrząc jednak wokół i widząc, że mało kogo to obchodzi.

Wiedziałem, że to już nie jest nasz kraj i z pewnością o ziemię nikt się nie troszczy. Wycięto lasy i wiatry zaczęły nieść pyły (było

to w zapyłonych latach trzydziestych). Zatem słuchałem dużo i usiłowałem pojąć, dlaczego jest inaczej niż postanowił Bóg na początku. Przysłuchiwałem się starcom opowiadającym o czasach zanim nasze terytorium zamieniło się w stan. Ta ziemia była naszą ojczyzną, w lasach było pełno jeleni, w strumieniach mnóstwo ryb i w owych czasach byliśmy panami samych siebie. Dobrze nam się żyło i troszczyliśmy się o ziemię. Wiedziałem, że teraz już tak nie jest. Zastanawiałem się dlaczego?

Raz jakiś starzec powiedział mi, że Indianie byli źli w dawnych czasach. Przestali przestrzegać prawa Bożego i do naszego kraju przyszedł biały. To była nasza pierwsza zguba - zostaliśmy zniszczeni przez zło. Ale poddźwignęliśmy się. Wtedy biali wskoczyli na nas i wypędzili z naszych starych ojczyzn na wschodzie. Znowu byliśmy w tarapatkach, ale znowu udało nam się powstać. W końcu biali załatwili nas i traktamentami i w naszym własnym kraju utworzyli swoje państwo. Podzielili się ziemią, rozciągnęli nasze narody i rządy, a przyznali nam indywidualne działki. Po raz trzeci



stanęliśmy przed obliczem zagłady. Stary człowiek powiedział, że niedługo się pozberamy, ale wcześniej nasze koszyki muszą się opróżnić. Miał tu na myśli, że sytuacja, w jakiej się znajdujemy musi się pogorszyć zanim znów się polepszy. Myślałem o tym wiele czasu.

Robiłem się starszy, a wtedy - jak to mówią starzy ludzie - zaczynasz sobie włączyć uświadamiać, zaczynasz zdobywać wiedzę. Czulem się nieco zastraszone i niespokojny. Poszedłem na wielkie spotkanie Indian. Było tam wielu Indian, którzy rozprawiali o traktacie. Starzy ludzie myśleli - i nadal tak sądzą - że nasz traktat z USA był gwarancją, że możemy żyć osobno jako ludzie aż do końca świata, i że tak nakazał Bóg. O tym rozprawiali.

W końcu wstał jakiś mężczyzna po czterdziestce i przemówił w swoim rodzimym języku: - Wiele co, przez całe życie biorę udział w Indianach spotkaniach i ciągle słyszę Indian mówiących o tym, że Bóg chciał aby Indianie byli narodem aż do końca czasu i żyłi razem z Amerykanami. Coś wam powiem. Indianin to dureń, nie ma zielonego pojęcia o sytuacji, w jakiej się znajduje. Nie może sobie uświadomić, że to nie jest już jego kraj, ale białego człowieka, i mówienie, że Bóg jest świadkiem tego traktatu nie ma najmniejszego sensu.

- To jest kraj białych ludzi - ciągnął dalej. - Oni przynieśli ze sobą nowego Boga. To pientądź. Spójrzcie w swoją kieszeń, a przekonacie się, że Indianin może otrzymać tyle sprawiedliwości, ile pientądźy ma w kieszeni. A przecież Indianie nie mają pientądźy!

Ale w czym rzecz? Otóż, nikt wtedy nie powiedział słowa, ludzie posiedzieli jeszcze z dziesięć minut, a potem zaczęli wstawać i rozchodzić się. Wtedy naprawdę się przeraziłem. To był pierwszy raz, gdy usłyszałem, że nie możemy już nawet polegać na Bogu. Byłem już dorosłym mężczyzną i zaim odważyłem się pójść na kolejne Indianie spotkanie.

Inny przypadek zdarzył się, gdy miałem może trzynaście lat. Mój dziadek miał siostrę na północy i pojechaliśmy ją odwiedzić. Mieszkała w pobliżu wielkiego wężenia federalnego.

- Chcę pójść zobaczyć się z jednym z moich synów, który tam siedzi - powiedział dziadek. Po angielsku użyłby słowa siostrzeniec, ale zgodnie z Indianie systemem pokrewieństwa był on *Jego* synem i *moim* ojcem, który siedział w wężeniu. Poszliśmy więc tam i mój ojciec wyglądał klepsko. Miał suchy kaszel. Czasami Indianie nie mogą długo wytrzymać w wężeniu, a on siedział tam już jakieś dwadzieścia lat i nabawił się groźnego kaszlu. Ucieszył się jednak na nasz widok i długo rozmawialiśmy.

- Jak to się stało, że mój ojciec siedzi w wężeniu? - zapytałem po wyjściu.

- W dawnych czasach twój ojciec był moim wojownikiem na Terytorium Indianie - odrzekł dziadek. - Był wielkim człowiekiem dla Indian, za to co dla nich robił, ale przyszedli biali ludzie, pojmali go i wsadzili do wężenia.

Wiele, to mnie zatkało! Zrobiłem się ostrożny. Nie chciałem się dać zapuszkować w wężeniu za robienie czegośkolwiek dla Indian!

Dopiero później poznałem całą sprawę. Było wtedy wielu Indianie nie zgadzających się z władzami stanowymi, którzy przedostawali się na Terytorium Indianie. Nasz wódtwo powiedział: "Będziemy się trzymać naszej religii i zachowamy pokój, a wszystko samo się ułoży." Ale w sąsiednim plemieniu jeden z ich wielkich wódtwów był odmiennego zdania.

- Lepiej chodźmy i zaprowadźmy nasze prawo zgodnie z traktatem, jak zawsze robiliśmy, a Bóg nas ochroni.

Niektórzy nasi ludzie uwierzyli mu i pospieszyli z pomocą.

Rzecz jasna, w owym czasie nie można było narzucić siłą swego prawa w Oklahomie. Przyjechali więc polkjanct, otoczyli bóg Indianie i chcieli zaaresztować wódtwa. Zaczęła się bezładna strzelanina, po czym wezwano wojsko. Po kilku bitwach pojmano kilkunastu mężczyzn, którzy byli przywódcami grup i wpakowano ich do wężenia.

Gdy byłem mały nie znalazłem całej tej historii. Wiedziałem tylko tyle, co powiedział mi dziadek, że mój ojciec był wielkim człowiekiem dla Indian, że przyszedli biali, pojmali go i wsadzili do wężenia. Gdy przez piętnaście-szesnaście lat żyjesz z takimi doświad-

czentami, musisz być zastraszone. Strach wywraca ci wnętrze na drugą stronę.

Kolejne doświadczenie mego pokolenia związane jest ze szkołami z internatem. Nie bałem się tam, byłem tylko zakłopotany. Nic z tego nie rozumiałem. Poszedłem do państwowej szkoły z internatem, jakie utworzył dla nas rząd. Mieszkasz tam, a oni cię uczą.

W szkole, do której poszedłem spotkałem zaledwie parę osób z mojego plemienia. Jedną z nich był chłopak imieniem Kaczka. Nie wiem, jak nazywał się po angielsku, w naszym języku mówiliśmy na niego Kaczka. Mówił dobrze po angielsku i zwykle trzymaliśmy się blisko niego. Gdy nie mogliśmy czegoś pojąć, Kaczka nam to tłumaczył. W szkole obowiązywało prawo, na mocy którego nie wolno było mówić własnym językiem. Przez cały czas powinno się mówić tylko po angielsku. Pewnego razu nakryła nas nauczycielka i posłała do diabła za mówienie w naszym języku.

- Jestem tobą zaskoczona, Sonny - powiedziała do mnie - masz taką jasną skórę i mówisz po Indianie!

Zupełnie nie wiem, co to miało wspólnego ze mną i mówieniem po Indianie, ale zauważyłem, że tam nie wolno było zachowywać się jak Indianin. Nie wolno było nawet śpiewać Indianie piosenek! W nocy nakrywaliśmy się kocami i śpiewaliśmy Indianie pieśni albo prześlizgiwaliśmy się na boso i tam tańczyliśmy.

W tej szkole było coś jeszcze - nie wolno było rozmawiać z dziewczętami! Gdy zobaczyłaś dziewczynę w szkole, nie mogłaś powiedzieć "cześć". Musiałaś trzymać głowę prosto i zając się swoimi sprawami. Gdy chciałaś pogadać z tą dziewczyną, musiałaś to zrobić między siódmą a ósmą wieczorem w specjalnej sali rozmów, gdzie wszyscy na ciebie patrzyli. Tak było w szkole podstawowej i średniej. Nie rozumiałem tego. Gdy byłem w szkole publicznej spytałem o to paru chłopaków: - Czy tak odnoszą się do siebie biali chłopcy i dziewczęta w szkołach z internatem?

Coś ty! To tylko Indianie! - usłyszałem w odpowiedzi.

Kierownikiem internatu był człowiek o imieniu Niebieski. Był na pół Indianinem, więc zatrzymałem go raz i spytałem:

- Nie rozumiem dlaczego nie pozwalacie nam rozmawiać z dziewczętami? Mam tutaj krewnych, niektóre z tych dziewcząt należą do tego samego klanu, co ja, są więc moimi siostrami.

- Wiesz, jak to jest z Indianami - odpowiedział - jeśli pozwolisz im ze sobą rozmawiać, nie minie wiele czasu, jak dziewczęta wrócą do domu z brzuchem.

Może miał rację, nie będę się spierał, ale to wypaczona opinia na temat Indianie natury. On nie powiedział: "Wiesz, jak to jest z Indianami". On powiedział: "Wiesz, jak to jest z Indianami", jakbyśmy byli gorsi od innych narodowości. Dużo o tym myślałem. Szkoła z internatem sporo mnie nauczyła. Dowiedziałem się, że wielu białych ludzi uważa, iż nie powinniśmy mówić po Indianie ani tańczyć, albo że mamy w sobie diabła.

Nawet biali, którzy byli do nas przyjaźnie nastawieni przeważnie nas straszili. - To tylko kwestia czasu - mawiali - a będziecie tacy, jak my. Wszystkie Indianie wkrótce znikną i będziemy jednym narodem.

Mówili to takim tonem, jakby oczekiwali od nas wdzięczności za to, że spotkało nas takie szczęście. Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć? Kiedy ludzie, którzy mówią, że są twoimi przyjaciółmi, wygadują takie rzeczy, że powinieneś wypatrywać swej zagłady, to co masz powiedzieć. Kiedy mówi to ktoś, kogo nie lubisz, możesz się wściec albo obsmarować go w gazecie. A nasi przyjaciele mówili: "Już niedługo Indianie porzucą swe tańce i inne rzeczy. Pożenią się i wtopią w społeczeństwo aż wszyscy będziemy tacy sami". Tu są wszyscy Indianie świata, niewielka ich ilość porzrucana tu i ówdzie. Z białymi jest inaczej. Na przykład Szwedów jest więcej w Europie niż tutaj. Jeśli Szwedzi pozostawili tu odrobinę swoich, to pewnie nie stracili dużo. Za to Indianie żyją tylko w Północnej Ameryce i nie mają dokąd wracać. Jeśli wtopimy się w to społeczeństwo, już po nas.

Gdy wybuchła druga wojna światowa, osiągnąłem wiek męski. To doświadczenie dało nam wszystkim naprawdę nowe wiedzienie światła. Na przykład, młodzi Indianie spotkali podczas służby wielu Indian z róż-

nych plemion. Odkryliśmy, że nie tylko nasze plemię ma tego rodzaju problemy i myśli w ten sposób. Rozwinęliśmy poczucie pokrewieństwa z pozostałymi plemionami Indiani. Dostrzegliśmy nasze wspólne problemy. Zrobiliśmy się mądrzejsi. Przekonaliśmy się, że świat nie zaczyna się i nie kończy w Podunk, Iowa. Dowiedzieliśmy się, że istnieje wiele różnych ludów na świecie, że to jest wielki świat. Odkryliśmy, że są tacy biali ludzie, którzy nie uważają Indian za głabów; niektórzy z tych białych mają wysoką pozycję społeczną. Nie uważali nas za głabów, jak nasi nauczyciele. Zetknęliśmy się z różnego rodzaju nacjonalizmami.

Pamiętam gdy Pierwsza Dywizja Desantowa przeszła przez Guadacanal. Odpoczywaliśmy wtedy w obozie w Nowej Zelandii. Miałem tam przyjaciela Nawaho i daliśmy nogę z tego obozu (wiele, beztraska jest dobra, ale na krótko) i trafiliśmy do osiedla Maorysów. Zostaliśmy tam z nimi przez 3-4 tygodnie i poznaliśmy się wzajemnie. Dowiedzieliśmy się, że Maorysi tańczyli i śpiewali podobnie jak my, że mieli zwyczaj plemienny podobny do zwyczajów Indian w Stanach. Biał w Nowej Zelandii nie widzieli w tym nic złego. W gruncie rzeczy uważali, że stare obyczaje Maorysów i ich styl życia są naprawdę wspaniałe. Ów Nawaho nieustannie powtarzał: „Chłopcze, ci biali szanują Maorysów”. Powtarzał tak, jakby nie mógł w to uwierzyć, jakby nie mógł tego zrozumieć. Przez dwanaście lat uczęszczał do młodszej szkoły z internatem i tam kazali mu się wstydzić swego indiańskiego pochodzenia.

Gdy wróciliśmy z wojny, postanowiliśmy, że nie będziemy już dłużej siedzieć cicho i dogorywać, jak życzą sobie tego biali człowiek. Wielu chłopaków zaczęło inaczej oceniać nasze stare zwyczaje i nasze tańce. W narodzie Krików zaczęli naprawdę tańczyć. Młodzi weterani z plemion Szejenów i Siuksów wracali do swych domów i podejmowali na nowo Taniec Słońca poświęcając się, jak za dawnych czasów. Na wojnie zyskaliśmy coś jeszcze poza rozlewem krwi, potu i ogromem niebezpieczeństwa.

Zyskaliśmy nowe spojrzenie na wiele spraw, choć nadal siedzieliśmy cicho. Na-

dal byliśmy przerażeni. Chodziliśmy tańczyć, nie mówiąc nic o tym białemu człowiekowi. Gdybyście w latach 1945-50 uczestniczyli w indiańskich konferencjach, okazałoby się, że biorąc w nich udział ciągle ci sami ludzie. Znikoma część Indian chciała być na bieżąco z całą tą sprawą znikania i wtapienia się. To byli Indianie, którzy brali udział w każdej konferencji i mówili w kategoriach "asymilacji".

Reszta z nas nie mówiła nic. Siedzieliśmy tylko, zabierając głos jedynie wtedy, gdy sprawa dotyczyła przydziału pieniędzy za to, czy za tamto. Mówiliśmy wszystko, co nam przyszło do głowy. Od czasu do czasu zjawiał się jakiś starzec i coś mówił. Wygłaszał mowę jak to starzy ludzie, plecąc coś o poleceniach Boga na początku świata, czym wprawiali w zakłopotanie indiańskich "liderów". Reszta nie robiła nic, tylko siedziała w milczeniu.

W tych czasach wojskowi Inżynierzy budowali tamy w całych Stanach Zjednoczonych i wydawało się, że najlepsze miejsca na tamę znajdują się akurat w indiańskich rezerwatach. Zawsze mnie ciekawiło, dlaczego tak jest. Ludzie powiadają, że Indianie łatwo dają się manipulować i nie robią żadnych ceregieli. Na początku lat pięćdziesiątych rząd budował tamę na Missourii w Północnej Dakocie, która zawierała indiański rezerwat Fort Berhold. Żyją tam trzy plemiona - Mandanowie, Hidatsa i Arikara. Dollna rzekł Missourii jest ich pierwotną ojczyzną, ta ziemia jest dla nich święta. Miał tam swe religijne sanktuarium, gdyż - jak powiadają ich religijne przekazy - w tym właśnie miejscu wyszli ze świata podziemi na powierzchnię. Ta ziemia jest ich kolebką, żyli tam od zarania dziejów.

Inżynierzy wojskowi chcieli spiętrzyć wodę i zalać tę ziemię. Mogli to zrobić oficjalnie, w majestacie prawa o gruntach wyższej użyteczności. Większość Indian to się nie spodobało, rozmawiali o tym, ale nie protestowali. Rząd zalał ten obszar, chociaż sporo się natargował z tymi trzema plemionami. Wydaje mi się, iż każdy w rządzie myślał, że nakłonienie Indian do zgody na zalanie ziemi to prawdziwy majstersztyk.

Ludzie z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych sprowadzili fotografów i ścignęli Indian na podpisane dokumentów. Gdy robiono zdjęcie, jeden z Indian znajdujących się w pierwszej linii płakał. Miał na sobie garnitur, trzymał się rękami za głowę i płakał. Założyłem się, że każdy Indianin w Stanach Zjednoczonych miał wtedy to zdjęcie przypięte do ściany w swoim domu. Nie mówiliśmy wiele, ale współczuliśmy temu człowiekowi, bo wiedzieliśmy, co traci. W tych czasach ciągle jednak byliśmy przestraszeni i potulni.

Pamiętam, że raz wygłaszałem odczyt na uniwersytecie. Jeden z moich profesorów zaprosił mnie do swej klasy na wykład o grupach mniejszościowych. Mówiłem o swym plemieniu, o reakcji na państwo i tak dalej. Jeden z tych facetów był bystry. Adwokat.

- No dobrze - spytał - ale czy twoi ludzie są zadowoleni z tego, że nie mają własnych społeczności?

Myślałem, jak tu zrobić unik. Obląłem się zmiłnym potem. Nie chciałem iść do więzienia jak mój ojciec. Czulem jakby mi robaki pożerały wnętrze i odpowiedziałem po prostu "nie", po czym zmieniłem temat.

Dopiero tuż przed ukończeniem college'u w połowie lat pięćdziesiątych zauważyłem, że zaczyna się coś zmieniać. Indianie robili się nieco ostrzejsi i już tak nie bali się białego człowieka. W tych latach panowała prosta metoda porządkowania świata, mianowicie nikt nie musi godzić się na to, że jest dla innych popychadłem. Ludy kolonialne w Afryce i Azji odzyskiwały wolność i mogły włączyć decydować o swoim losie. Trochę tej odmiennej atmosfery ogarnęło w tym czasie także Indian.

W 1954 roku wspólnie z młodym liderem plemiennym mieliśmy spotkanie w żeńskim klubie w Chicago. Gdy przyszedliśmy na miejsce, błyskotliwy biały naukowiec powiedział nam:

- Posłuchajcie panowie, gdy już tam wejście, nie oszukujcie tych ludzi. Nie wciskajcie im bajeczek w stylu: wiem, że jesteście opóźnieni w rozwoju, ale cały czas nadrabiamy. Nie mówcie im tego. Powiedzcie o tym, co myślą Indianie.

Wymieniłem z przyjacielem porozumiewawcze spojrzenia nie mówiąc ani słowa,

po czym weszliśmy na salę i wygarnęliśmy całą prawdę. Ludzie nie wściekli się na nas, stróża prawa też nie przyszedł, żeby wsadzić nas do pudła. Myślę, że wtedy po raz pierwszy usłyszałem, jak ktoś mówi publicznie takie rzeczy.

Można dostrzec zmianę w polemikach między Indianami i białymi. Indianie właściwie kończyli z cmokaniem na "fakt", że ginęli jako lud. Przeciwnie, dążyliśmy do tego, żeby być jak wszyscy inni w tym kraju. I to właśnie można było zauważyć na indiańskich konferencjach.

Przypominam sobie, że w 1955 roku pojechałem na zebranie Narodowego Kongresu Indian Amerykańskich (NCAI), jakie odbywało się w Omaha w stanie Nebraska. W ciągu dnia dyskutowaliśmy, a wieczorem upiekliśmy wielkiego bizona i zaczęły się tańce, głównie towarzyskie. Czuliśmy się świetnie. Był tam jeden taki wielki Apacz, kompletnie pijany. Wstał i podszedł do mikrofonu.

- Jestem już zmęczony słuchaniem tych wszystkich słodkich piosenek, które są ładne ale nie znaczą - powiedział. - Chcę zaśpiewać pieśń, która coś znaczy. Chcę wam zaśpiewać pieśń, jaką ułożył Geronimo, gdy był jeńcem w Fortcie Sill. Miał wtedy siedemdziesiąt lat.

I rzeczywiście zaśpiewał. Nie było tam Indianina, który by nie zrozumiał, o czym była ta pieśń. Opowiadała ona o życiu w górach i smaku wolności. Kiedy skończył wszyscy Indianie powstali i zaczęli klaskać; ja także. Gdyby to zdarzyło się pięć lat wcześniej, wszyscy byśmy siedzieli i wlepiłi wzrok w podłogę. Rok później tego olbrzymiego wodza Apaczów wybrano na przewodniczącego Narodowego Kongresu Indian Amerykańskich.

Wydaje mi się, że dzisiejsi Indianie nie są już tak zastraszeni. Mamy nadzieję, a nadzieja oznacza zdolność robienia tego, co człowiek powinien: wychowywać swe dzieci według własnych zasad. Chcę zobaczyć, jak moje dzieci będą tańczyć. Nie chcę, aby moje dzieci rosły przy mnie, a potem zostały mi odebrane. Chcę widzieć w nich coś z siebie. Tego pragnie większość ludzi na świecie. Chciałbym móc wrócić do domu i mieć komu powiedzieć o tym, co dzieje się w naszej

społeczności. Nie jest to wygórowana prośba i sądzę, że większość Indian pragnie tego dzisiaj.

Pragnienie wolności to kolejna sprawa. Niektórzy ludzie chcieliby mieć wolność i większy wpływ na swe sprawy, wzorem innych grup etnicznych w Ameryce. Niektórzy Indianie chcą jeszcze więcej: chcą mieć niepodległość, jak nasi ojcowie. Bez względu na to, jak bardzo Indianie pragną wolności, zdecydowali się wreszcie przemówić. Dziś mamy nie tylko nadzieję, że któregoś dnia będziemy wolni, ale już się nie boimy. Widzicie, stoję tu przed wami i mówię wam o tych sprawach. Dziesięć lat temu nie zaślgnęlibyście mnie tutaj nawet zaprzęgiem wołów. Mam nadzieję i ufność. Widać to wszędzie.

Niespełna rok temu (1971 - red.) pojechałem na konferencję Indian i białych, którzy usiłowali się wzajemnie zrozumieć. W konferencji tej wzięło udział paru dobrze usposobionych białych ludzi, ludzi wykształconych: lekarzy, prawników i pracowników społecznych.

- Przecież wiecie - powtarzali nieustannie - że generalnie jesteśmy tacy sami i pewnego dnia się zintegrujemy.

Myśleli, że w ten sposób zaprzyjaźnią się z Indianami obecnymi na konferencji. Utrzymywali to przeświadczenie przez trzy dni, natomiast Indianie z każdym dniem stawali się coraz bardziej milczący. Indianie nie są tak wygadani jak inne narodowości. Nie lubimy nikogo obrażać ani ranić jego uczuć, zwłaszcza gdy ktoś usiłuje być miły.

W końcu wstał jeden Indianin i najłagodniejszym głosem, ale stanowczo powiedział:

- Nie chcę nikogo urazić tym, co powiem, ale *nie jesteśmy* tacy sami. Indianie, jesteście odmiennym ludem, jesteście odrębną rasą i tak powinno być. Nie chcemy być jak wy - ciągnął dalej. - Wasz styl życia jest w porządku. To dobrze, nie do was nie mamy, ale *nie jesteśmy* tacy sami.

Wszystkim opadły szczęki, ale powiedział to i nikt się nie zdenerwował. Indianie odechnęli i odprężyli się po trzech dniach ścisłanki poręczą od swych krzesel.

Pamiętacie tę historię o zalaniu plemion Mandanów i Arlikarów w Północnej Dakocie,

którą wam opowiadałem? Świetnie, z roku temu władze stanu Nowy Jork zaczęły zalewać lud Tuscarora, a oni urządzili demonstrację. Wyszyli kobiety z dziećmi i nie wpuścili młerniczych. Zrobił się wielki harmider. Ostatecznie przegrali, ziemia została zalana, ale Indianie powstali i coś zrobili. Nic uciekliśmy, nie ballśmy się i nie plakaliśmy, gdy zabierano nam święte ziemie. Indianie mieli coś do powiedzenia i były to nie tyle słowa protestu, ile słowa zawierające nadzieję zwycięstwa.

We wszystkich plemionach można dziś dostrzec nowego ducha. Może nie ogarnął on każdego Indianina z osobna, ale widać go w każdym plemieniu. Ten nowy duch mówi, że mamy szansę. Nie chcemy się już bać jak wtedy, gdy dorastałem. Mam szansę na stworzenie własnych społeczności i mamy szansę na dokonywanie takich samych wyborów, jak inne grupy etniczne w tym kraju.

Pojawiają się też złe znaki. Niektórzy nasi liderzy są bardzo zawzięci, a nienawistnie prawie ich pożera. Niektórzy nasi przywódcy chcą abyśmy zostali biznesmenami, bo to da nam siłę, a wtedy nie będziemy już musieli zajmować się biznesem. Przypomniało to podpalanie stodoły w celu wyteplenia szczurów. Ogólnie jednak Indianie patrzają przed siebie, mamy już trochę nadziei.

- Wiesz - powiedział mi ostatnio jakiś facet - w czasach naszych pradziadków byliśmy wielkim ludem. Nigdy nie myślałem, że doczekam powrotu tych czasów. Teraz jednak uważam, że może za dni naszych wnuków znów będziemy wielkim ludem.

Tak oto odbyliśmy wędrówkę od strachu do nadziei. □

Anderson Dirthrower

Tłumaczenie
Marek Maciolek

Na podstawie: *Who is the Chairman of this Meeting? A Collection of Essays* edited by Ralph Osborne. Newlin Publishing Co., Ltd. Toronto 1972, s. 79-96.

JAK POWSTAŁ AIM?

25 lat temu, latem 1968 roku, narodził się w Minneapolis, w Mimesocie Ruch Indian Amerykańskich (AIM - American Indian Movement) - do dziś jedna z bardziej aktywnych, znanych i kontrowersyjnych organizacji Indian w USA. Dlaczego i jak do tego doszło, kim byli jego twórcy - oto próba odpowiedzi.

Czas i miejsce powstania AIM-u nie były przypadkowe - stanowiły rezultat rozwijającej się od kilku lat działalności "nowych Indian" spod znaku Red Power (zob. "TAWACIN" 1/93), zdobywającego popularność w całym kraju ruchu walki o prawa obywatelskie i narastających problemów Indian z wielkich miast.

Już w 1962 roku Clyde Bellecourt i Eddie Benton Banai - dwóch Czipewejów, przebywających czasowo w stanowym więzieniu Stealwater, w stanie Minnesota, poruszonych wieściami o kolejnych protestach tubylców - doszło do wniosku, że rządowa kontrola niszczy Indian, którzy - by przetrwać - powinni sami zająć się rozwiązywaniem swoich problemów. Jeszcze w więzieniu zorganizowali oni grupę 46 indiańskich więźniów, którym - jak mówi Bellecourt - zaproponowali "edukację o byciu Indianami zamiast gnicia w pudle przy malowaniu tablic rejestracyjnych. Sądzę, że był to pierwszy autentyczny 'program indiańskich studiów' w kraju".

W stanie Minnesota Indianie stanowili w tym czasie 1% mieszkańców, ale aż 8% więźniów. W Dakocie Południowej, gdzie Indian jest 6,5%, tubylcy to ok. 30% więźniów. Wskaźniki te, typowe dla większości zachodnich stanów USA i prowincji w Kanadzie, są nie tyle dowodem antyspołecznych postaw tubylców, co rezultatem rasizmu i surowości prawa wobec Indian. Ich przestępstwa są często związane z alkoholem, zaś aresztowanych Indian rzadko kiedy stać np. na płacenie kauce. Do niedawna prawie w ogóle nie korzystali też oni z możliwości obrony przed sądem.

Clyde Bellecourt, zwolniony warunkowo w 1964 roku po odsiedzeniu części kary za włamanie i rabunek z bronią w rękę, zabrał się za organizowanie mieszkańców dużego "czerwonego getta" w Minneapolis. Plany Clyde'a i jego przyjaciół były typowymi w latach 60. planami walki o prawa obywatelskie, planami zwiększenia szansy miejskich Indian na "cieszenie się pełnią praw jako obywateli USA". Dopiero później zdano sobie sprawę z tego, że idea "obywatelstwa" Indian trafia w próżnię i że dlatego walka o ich prawa obywatelskie nie ma większego sensu. Póki co, Indianie z Minneapolis nie mieli się nawet za bardzo gdzie spotykać i wiosną 1967 roku sprzedawali np. znaczki i nalepki, aby otworzyć pierwszą indiańską kawiarnię.

"Usiłowałem działać w ramach Systemu przez cztery lata, domagając się sprawiedliwości dla mojego ludu" - wspomina Bellecourt, dziś wysoki, spokojny mężczyzna o długich włosach splecionych w warkocze, w okularach i z wąsami. "Ale cała forsą była kontrolowana przez kościoły i biurokratów, a nikt z nich nie był zainteresowany programami, które mogłyby prowadzić do autentycznej ekonomicznej niezależności Indian." W lipcu 1968 roku, wspólnie z Eddie'm Bentonem Banai, George'm Mitchellem i innymi byłym więźniem o nazwisku Dennis Banks, Clyde Bellecourt stworzył grupę 'Concerned Indian Americans' (Zatroskani Indiańscy Amerykanie). Jej nazwę - ze względu na niezbyt fortunny skrót (CIA) - zmieniono wkrótce na 'American Indian Movement'. (Peter Matthiessen, "In the Spirit of Crazy Horse")

Indiancy działacze lat 70. byli w większości wychowankami nadzorowanych przez Biuro do Spraw Indian (BIA) szkół z internatami. Przymusowe "wybielanie" w nich indiańskich dzieci, odcinanie ich od plemiennych korzeni oraz karanie wszelkich przejawów indiańskości prowadziło często do nieoczekiwanych skutków. "Robili co mogli, by wybić z nas Indian. Tymczasem wbili Indian w nas, przynajmniej w moim wypadku" - wspomina Dennis Mitchell, spokojny Czipewej, jeden ze współzałożycieli AIM-u i faktyczny autor jego statutu, odsunięty dość szybko na dalszy plan przez bardziej przebojowych działaczy. "Byli tam Czipeweje, Siuksowie i wielu Kri, mówiących tylko w swoim języku i po francusku. Wkrótce wszyscy znaleźmy nawzajem swoje języki, chociaż bito każdego, kto mówił po indiańsku." (Robert Burnette, John Koster, "The Road to Wounded Knee"). Wspólne Indianom z różnych plemion doświadczenia młodości stały się z czasem jedną z podstaw rozwoju idei pan-indiańskiej jedności i świadomości znaczenia własnej kultury.

Dennis Banks, który wkrótce stał się najgłośniejszym z liderów AIM-u, urodził się w 1932 roku w rezerwacie Czipewejów Leech Lake w Minnesocie. Gdy miał 5 lat trafił do szkoły z internatem, gdzie przez 14 lat edukacji zapomniał języka przodków. W 1953 roku wstąpił do wojsk lotniczych i przez trzy lata stacjonował w Japonii (a jego związki z tym krajem pozostają silne do dziś). Przez kolejne 10 lat "obiął się między rezerwatem i Minneapolis w poszukiwaniu pracy, czego-kolwiek". W 1966 roku został skazany na 5 lat więzienia za włamanie. Zwolniony warunkowo, powrócił tam w rok później. Po wyjściu na wolność związał się z Clyde'm Bellecourtem, którego poznał gdzieś w połowie lat 50. Przystojny i pełen ekspresji, wkrótce dał się poznać jako najbardziej rozważny i przekonujący z przywódców nowego Ruchu.

Chociaż inspirację dla AIM-u stanowiły po części wojny rybackie Indian z Północno-Zachodniego Wybrzeża, protesty ziemskie Sześciu Narodów z pogranicza amerykańsko-kanadyjskiego na Wschodzie oraz działalność aktywistów Red Power na Zachodzie, to powstanie tego ruchu było bezpośrednim rezultatem rządowej polityki likwidacji opieki władz nad Indianami

z rezerwatów (i samych rezerwatów) oraz programów przesiedleń, które rzuciły tysiące nieprzygotowanych do tego Indian na "głęboką wodę" wielkich miast. Nawet ci, którym udało się zdobyć wykształcenie i pracę, spotykali się często z otwartym rasizmem i dyskryminacją, "otrzymując najniższą płacę za najgorszą robotę i żyjąc w najgorszych warunkach" (John Pittman, "Wounded Knee and the Indian Future"). Przez pierwszy rok AIM zajmował się głównie pracą, mieszkaniem i oświatą. Ponadto, Bellecourt stworzył uliczny patrol, mający chronić Indian przed nadużyciami i gwałtami ze strony policji (np. filmując aresztowania, czy udzielając zatrzymanym porad prawnych). Bardzo szybko liczba aresztowanych Indian spadła. "Po prostu pokazaliśmy, że ktoś troszczy się o ludzi." Clyde okupił to co najmniej trzydziestokrotnym pobiciem przez policję (i do dziś ma np. złamaną szczękę).

W rezultacie stopniowego odchodzenia przez administrację Johnsona i Nixona od polityki likwidacji i przesiedleń programy pomocy społecznej i prawnej AIM-u zyskały poparcie lokalnych władz, grup kościelnych i fundacji. Clyde Bellecourt, wciąż na warunkowym zwolnieniu, został zatrudniony na etacie, by mógł realizować swe pomysły, a w 1970 roku AIM, z pomocą środowisk sądowniczych Minnesoty, otworzył pierwszą "szkołę przetrwania" jako rodzaj alternatywy dla zakładów poprawczych dla nieletnich. Koncepcja ta szybko rozprzestrzeniła się na inne stany, a to pomagało młodym Indianom przystosować się do życia w zdominowanym przez białych społeczeństwie bez utraty tego, co najcenniejsze w ich własnej kulturze oraz umożliwiała im poznanie innej, niż prezentowana w oficjalnych podręcznikach, wiedzy o roli Indian w historii Ameryki. "Chcieliśmy uczyć nasze dzieci prawdy o Indianach - mówi Bellecourt - kim byli nasi prawdziwi wodzowie i co robili."

W tym samym okresie, podczas historycznego spotkania w Cass Lake (gdzie AIM poparł walkę Czipewejów z ograniczającym ich prawa do połowu ryb stanem Minnesota), działacze AIM-u - pokazujący się wtedy publicznie z bronią - poparli podstawową zasadę suwerenności plemion i przyjęli jako symbol Ruchu odwróconą

flagę amerykańską. "Zaproponował to ktośś z byłych żołnierzy" - wspomina Banks. "Biali oczywiście protestowali, podobnie jak wielu Indian. Wielu z nich służyło kiedyś w wojsku i w pewien sposób wciąż czuli się Amerykanami. Byli zakłopotani, gdy patrzyli na odwróconą flagę. Musieliśmy tłumaczyć, że jest to międzynarodowa oznaka zaniepokojenia ludzi, którzy są w kłopotach, a nikt nie mógł zaprzeczyć, że Indianie mają duże kłopoty i potrzebują pomocy."

Nieuniknione w tej sytuacji okazały się oskarżenia rozczarowanych członków władz stanowych i lokalnych o szerzenie "nienawiści do białych" w prowadzonej przez AIM szkole przetrwania. Skrajne pravicowe John Birch Society zaatakowało nowy ruch jako środowisko przestępców, w tym - "komunistycznych zbrodniarzy". Basła Ruchu, głoszone charakterystycznym dla radykalnych polityków językiem, budziły podobne obawy i podejrzenia w konserwatywnych rezerwach. Jednak działaczom AIM-u udało się rozbudzić wyobraźnię młodych Indian w sposób, który nie udał się nikomu wcześniej. Wieści o skutecznych akcjach patroli i szkołach przetrwania rozchodziły się po kraju, a działacze i sympatycy Ruchu zaczęli pojawiać się na demonstracjach i protestach od wybrzeża do wybrzeża.

Jedną z najgłośniejszych akcji tego okresu była, trwająca od listopada 1969 roku do czerwca 1971 i ciesząca się szerokim poparciem, okupacja wyspy Alcatraz w zatoce San Francisco przez grupę kalifornijskich "Indian Wszystkich Plemion". Akcji przewodzili: młody Mohawk Richard Oakes (zastrzelony bezkarnie w 1972 r.), Grace Thorpe (córka mistrza olimpijskiego Jima Thorpe) i tradycyjny przywódca duchowy Tuskarorów, Mad Bear Anderson. Okupacja miała miejsce, bo chcieliśmy zwrócić uwagę na fakt, że nie mamy mieszkań, szkół i tak dalej" - mówił John Trudell, Siuks Santee, inny z przywódców okupacji Alcatraz, który przyłączył się do AIM-u wiosną 1970 r. i wkrótce stał się krajowym rzecznikiem Ruchu Indian Amerykańskich. "Zajęliśmy Alcatraz, by stworzyć centrum oświatowe i kulturalne, ale nigdy nam się to nie udało" - wspomina Trudell, drobny mężczyzna o kocich ruchach i mocnym, rozpalającym namiętności słuchaczy, głosie.

Jednym z pierwszych przywódców religijnych, którzy poparli AIM, był młody lakocki 'medicine man', Leonard Crow Dog (prawnuk Crow Doga, który w 1881 roku zabił wodza Spotted Taila w rezerwacie Rosebud). Crow Dog był lokalnym przywódcą pejotystów zrzeszonych w Kościele Tubylczych Amerykanów, używającym w swoich obrzędach halucynogennego kaktusa i cieszącym się sporą popularnością Indian na całym Zachodzie USA - także rozczarowanych "białymi" kościołami indiańskich Chrześcijan. "Rozpoczęliśmy w Bliźniaczych Miastach (St. Paul - Minneapolis) - wspomina Bellecourt - ale od początku nasz Ruch odwoływał się do gwarancji danych Indianom we wszystkich traktatach. Nie chcieliśmy włączać się w walkę o prawa obywatelskie, bo była to sprawa między czarnymi i białymi, bo działo się to w ramach Systemu, a System nie miał nic wspólnego z Indianami. I zawsze czuliśmy, że musimy mieć duchowe podstawy, duchowe przewodnictwo. W 1970 roku usłyszeliśmy o Crow Dogu i pojechaliśmy do niego. A on miał wcześniej wizję, wiedział że przyjdziemy i został naszym duchowym doradcą. Dzisiaj wszędzie gdzie jeździmy, mamy regularne ceremonie. Będem milczał przez tak wiele lat, dziś dzieci słuchają go codziennie w naszych szkołach przetrwania." (P. Matthiessen, "In the Spirit of Crazy Horse")

"Crow Dog powiedział im, że jeśli AIM chce być autentycznie indiańską organizacją, to muszą być w nią duchowo zaangażowani nasi tradycyjni lekarze i święci ludzie. I tak naprawdę to wtedy narodził się Ruch Indian Amerykańskich: sądzimy bowiem, że Ruch jest nie tylko obrońcą Indian, ale jest także duchowym odrodzeniem naszego narodu. Niesie w sobie duchowość naszych przodków i naszych starców. I obecnie Ruch Indian Amerykańskich opiera się głęboko na tradycyjnych wodzach i świętych ludziach z różnych plemion, udzielających im wskazówek niezbędnych im, by jak najlepiej pomagać Indianom." ("Voices From Wounded Knee")

Innym z cernych "nabytków" AIM-u w tamtym roku był młody Oglala, Russell Means. Chociaż urodził się w Porcupine, w rezerwacie Pine Ridge, to sporą część życia spędził w Kalifornii. Tam pięciokrotnie bodaj podejmował próbę ukończenia koledżu i zostania księgowym, w czym

przeszkadzał mu m.in. alkohol. Pod koniec lat 60. znalazł pracę w biurze plemiennym w rezerwacie Rosebud, gdzie pamiętają go jako "dobrodusznego, ciężko pracującego chłopaka", któremu zawrócił w głowie nadmiar kontaktów z liberałami. Means czuł się skrzywdzony utratą swej kultury i języka, "ukradzionych mi przez białych ludzi". W 1970 roku – już jako szef Centrum Indianiańskiego w Cleveland – pojechał na indiańską konferencję do Minneapolis. Po powrocie założył w Cleveland oddział Ruchu.

Jesienią 1970 r., i ponownie wiosną roku następnego, AIM i tradycjonałści Oglalów założyli symboliczny obóz przy pomniku czterech prezydentów na Mount Rushmore, przypominając roszczenia Lakotów do Czarnych Wzgórz. Means brał udział w demonstracjach na Mount Rushmore oraz w "narodowym dniu żałoby" w dniu Święta Dziełczynienia w Plymouth. Ten był jeździec na rodeo i indiański tancerz swym dumnym zachowaniem, bezkompromisowymi wypowiedziami i charakterystycznym wyglądem (długie warkocze, czerwona opaska, naszyjnik z kości, czarna koszula i haftowana kamizelka, pas wyszywany koralikami, turkusowa biżuteria, jeansy i kowbojskie buty) stworzył współczesną wersję tradycyjnego dziewiętnastowiecznego wojownika – symboliczny image skutecznie działający na media i społeczeństwo.

Równie jak Banks elokwentny i charyzmatyczny, Means pozbawiony był, związanej z różnicą wieku i charakterystycznej dla Banksa, rezerwy i dyplomatyczności. Nic dziwnego, że to on właśnie stał się w stanach preryjnych uosobieniem tego wszystkiego, czego mieszkający tam biali obawiali się w AIM-ie i co potępiali. "Nazwisko Meansa było wszędzie" – wspomina kobieta z Iowa wychowana w rodzinie wstydzającej się swojego indiańskiego pochodzenia. "Zdarzało się w Sioux City, że pijanych Indian zamykano na parę dni za kratki i nikt się nawet nie odezwał. Ale wkrótce wszyscy zaczęli narzekać na AIM. Dopóki nie pojawił się Means, nie widzieliśmy Indian, nie myśleliśmy, że istnieją, że żyją w jakiejś złej dzielnicy. Po prostu nie zauważaliśmy ich."

Means, Banks – obaj postrzegani często niesłusznie jako nierozłączny duet – i pozostali "AIM-owcy" odrzucali

utarte sposoby działania. Nic dziwnego, że byli traktowani podejrzliwie nie tylko przez związanych z rządowym Biurem do Spraw Indian (BIA) lub nawróconych na chrześcijaństwo Indian, ale często także przez działaczy innych tubylczoamerykańskich organizacji i wielu tradycjonalistów z rezerwatów. Głośni i agresywni bojownicy byli przez nich odrzucani jako "miastowi" Indianie o przejętych od białych złych obyczajach i poglądach, którzy zgubili związek ze swymi korzeniami. Czerwone opaski, długie włosy i pióra przemawiały bardziej do białych ludzi z wielkich miast, niż do czerwonoskórych z wioski i rezerwatów. Nowy Ruch nie zyskał znaczącej akceptacji w takich ostojach tradycyjnej kultury, jak wioski narodu Hopiów, czy Irokezów, od lat odrzucających obywatelstwo amerykańskie. Podobnie plemiona Puyallup i Nisqually z Północnego Zachodu, od pięćdziesięciu lat zwalczające ataki władz stanowych na ich traktatowe prawa do połowu ryb, dość ostrożnie podchodziły do "radikałów" ze skłonności do gwałtownych działań AIM-u.

Mimo to, wielu Indian i indiańskich organizacji zwracało się do "wojowników" z AIM-u z prośbą o pomoc, gdy zawodziły dotychczasowe sposoby działania. Ich skuteczne nierzadko interwencje – lub choćby zauważalna obecność i podnosząca na duchu wstydzających się dotąd swej "indiańskości" tubylców retoryka – stopniowo zyskiwały uznanie w oczach duchowych przywódców wielu tubylczych grup i narodów, dostrzegających w młodych bojownikach ostatnią deskę ratunku dla swych ludzi. "Podczas gdy coraz więcej miejskich Indian przyłączało się do trzech głównych buntowniczych organizacji – Ruchu Indian Amerykańskich, Zjednoczonych Tubylczych Amerykanów i Indian Wszystkich Plemion – nawiązywali oni kontakty z młodymi ludźmi wychowanymi w rezerwach i mówiącymi językami plemiennymi. Wielu Indian z miast zaczęło pojawiać się w rezerwach, poszukując plemiennego dziedzictwa, którego ich pozbawiono i stając się najbardziej bojowymi adwokatami kulturowego odrodzenia. W połowie 1972 roku zwolennicy umiarkowanego postępu w sprawach Indian szybko tracili grunt pod nogami, a w powietrzu wisiła już konfrontacja." (Vine Deloria, Jr., "Behind the Trail of Broken Treaties")

Od narodzin Ruchu Indian Amerykańskich minęło tymczasem 25 lat. Do historii przeszły już okupacja Wounded Knee, niezliczone akcje protestacyjne i związane z nimi procesy sądowe liderów AIM-u z lat 70. Wyrosło młode pokolenie działaczy, którzy – pod kierunkiem wiernego wciąż Ruchowi Dennisa Banksa – dostosowują do nowych warunków swoje formy działania – tak w tubylczych społecznościach lokalnych, jak i na arenie międzynarodowej. Choć wydaje się, iż okres największej świetności AIM ma już za sobą – to, wzięwszy pod uwagę ciężkie warunki, w jakich przyszło mu działać

oraz ogromne zmiany, jakie zaszły – nie tylko w Kraju Indian – od lata 1968 r., jego przetrwanie zasługuje z pewnością na uwagę, zaś barwna historia narodzin – na przypomnienie. Warto także zapewne opisać późniejsze sukcesy i porażki Ruchu, warto pokusić się o podsumowanie znaczącej roli, jaką AIM odegrał niewątpliwie w długim procesie odradzania się i przekształcania tożsamości tubylczych Amerykanów, w walce o zmianę sposobu, w jaki Indianie byli i są postrzegani – także przez nas. Ale to już zupełnie inna historia.

oprnł. Marek NowoCIEN



Ruch Indian Amerykańskich istniał zawsze. Od stuleci istnieli tacy ludzie, jak Crazy Horse, którzy powstawali i walczyli za nas.

– Clyde Bellecourt



Aleksander Sudak

Tecumseh mit i rzeczywistość

Tecumseh przeszedł do historii i legendy jako „największy Indianin” i „najmężniejszy z mężczyzn”. Wszyscy współcześni, tak Brytyjczycy jak i Amerykanie, zaświadczyli zgodnie, że był niezwykłym człowiekiem. Głównodowodzący sił brytyjskich w Kanadzie, generał Izak Brock mówił w 1812 roku: „Nie sądzę by istniał równie mądry i dzielny wojownik. Wzbudza podziw każdego, kto miał sposobność go poznać.” Major John Richardson, będący świadkiem tego jak wódz powstrzymał masakrę jeńców amerykańskich po pierwszej bitwie pod fortem Meigs¹, stwierdził, że „Tecumseh przypominał czerwonoskórego tylko ubiorem i barwą skóry.” To samo mówili Amerykanie John Johnston, agent do spraw Indian działający wśród Szawanezów, uważał Tecumseha za „wielkiego człowieka swojej rasy, który niepodległość swemu ludowi chciał zapewnić poprzez stworzenie jednego narodu ze wszystkich Indian z Północy i Południa, zdolnego stawić czoło naporowi białych. Gdyby pojawił się pięćdziesiąt lat wcześniej, powstrzymałby pochód Anglosasów na Zachód.” Nawet jego największy przeciwnik, późniejszy prezydent William H. Harrison, przyznawał, że Tecumseh był „jednym z tych niezwykłych geniuszy, jacy pojawiają się czasami, by wzniecać rewolucje i zmieniać zastany porządek rzeczy... Nie zniechęcają go żadne trudności... Gdzie się nie pojawił, zapewniał sobie poparcie dla swego ludu”

Urodził się w marcu 1768 roku w Old Piqua, wsi Szawanezów nad Rzeką Szaloną (Mad River) w zachodnim Ohio, jako piąte dziecko wodza Puckeshinwa i Methoataska, kobiety z plemienia Krików. Gdy Puckeshinwa zginął w bitwie nad rzeką Wielką Kanawha², opiekę nad Tecumsem i resztą rodzeństwa przejął najstarszy w rodzinie Chiksika. Szczególnym uczuciem darzył on właśnie Tecumseha, który niezmiernie był przywiązany do swego starszego o dziesięć lat brata. Pod jego okiem wyrastał na wielkiego wojownika i stratega (jakim miał stać się w przyszłości). Zdolności w tym kierunku wykazywał już od najmłodszych lat. Zaukownie strzelał z łuku i broni palnej. Stefan Ruddell, wzięty w dzieciństwie do niewoli przez Szawanezów i wychowujący się wraz z Tecumsem, opowiadał jak ten, będąc chłopcem, organizował pozorne bitwy, ćwiczył najazdy, zasadki i kontrataki. Tak zdobyte doświadczenie miał okazję pogłębić przez obserwację wyczynów takich wodzów jak Czarna Ryba, Niebieski Kalfan, Mohuntha czy brat Chiksika, kiedy odpierali najazd amerykańskich osadników na ich wieś Chillicothe w maju 1779 roku. Trzy lata później u boku Chiksiki przeszedł chrzest bojowy w bitwie z Amerykanami u ujścia Szalonej Rzeki. Zbiegł z pola walki i ukrył się w lesie, ale nie miał wtedy jeszcze piętnastu lat.

Dobre imię odzyskał bardzo szybko. W latach 1783-1790 uczestniczył w licznych potyczkach i najazdach na amerykańskie osiedla w Kentucky i Tennessee, prowadzony przez Chiksikę. Po śmierci brata, który zginął latem 1788 roku pomagając Czirakezom w ataku na osiedle zwane Stacją Buchanana we wschodnim Tennessee, Tecumseh wyszedł z jego cienia, stając się uznanym wodzem wojennym. Po powrocie na Północ wziął aktywny udział w walkach z amerykańskimi osadnikami i z wojskiem, których kulminacyjnym momentem było wielkie zwycięstwo sprzymierzonych Indian, prowadzonych przez Małego Żółwia, Niebieski Kałtan i Buckongahelę, nad Armią Stanów Zjednoczonych w bitwie nad górnym biegiem rzeki Wabash, na zachodnim krańcu Ohio 4 listopada 1791 roku³. Sam nie uczestniczył w starciu dowodząc zwiadowcami, których zadaniem było informować sprzymierzonych o ruchach przeciwnika. Wsławił się natomiast w przegranej przez Indian bitwie pod Zaporą z Pni 20 sierpnia 1794 roku, w której zginął jego starszy brat Sauwauseekau⁴.

Bitwa ta złamała opór sprzymierzonych plemion, które mocą układu zawartego w Greenville musiały zrzec się ziem w południowym, środkowym i wschodnim Ohio. Szawanezi stracili swe najlepsze tereny nad rzekami Scioto i Muskingam. Mimo że układ z Greenville⁵ ustanowił ostateczną granicę między Indianami i białymi, niektórzy Indianie - a wśród nich Tecumseh - zdawali sobie sprawę, że to nie koniec zakusów Amerykanów na ich ziemi. Obawy te sprawdziły się 30 września 1809 roku, kiedy mocą układu zawartego w forcie Wayne wodzowie Majamów, Delawarów i Potawatomi sprzedali rządowi ponad trzy miliony akrów ziemi w stanie Indiana.

Cztery lata wcześniej wśród Indian narodził się ruch religijny, na którego czele stanął młodszy brat Tecumseha, Tenskawatawa (Otwarte Drzwi), zwany też Prorokiem⁶. Wzywał on wszystkich Indian do zamiechania walk między sobą, odrzucenia wszystkiego, co pochodzi od białych, a szcze-

gólnie alkoholu, sprzeciwiał się mieszanym małżeństwom. Zastosowanie się do tych wskazań miało sprawić, że Pan Życia otoczy znów opieką swe indiańskie dzieci i uchroni je przed zagładą. Do założonych przez Proroka wiosek, które stały się ośrodkami ruchu, najpierw w Greenville w 1805 roku, a potem nad Tippecanoe w 1808 zaczęły napływać setki pielgrzymów z licznych plemion, z których wielu osiadło tam na stałe.

Początkowo sceptyczny wobec nauk swego brata Tecumseh szybko dostrzegł w nich szansę skutecznego przeciwstawienia się naporowi białych. Za cel postawił sobie upolitycznienie tego duchowego ruchu. Osią jego polityki było wspólne posiadanie przez wszystkie plemiona ziem pozostałych Indianom i utworzenie z tych plemion silnej politycznej i wojskowej konfederacji pod własnym przywództwem. Jego zdaniem granica ustanowiona z Amerykanami układem w Greenville miała być ostateczną, lecz pozostałe ziemie miały należeć odłud do wszystkich Indian, a nie do poszczególnych plemion, które nie miały już prawa sprzedawać rządowi ziemi na własną rękę, a tylko za zgodą wszystkich plemion. Dlatego Tecumseh nigdy nie uznał układu w forcie Wayne, kiedy kilku ugodowo nastawionych wodzów sprzedawało ziemię bez zgody pozostałych współplemieńców.

Ramieniem zbrojnym tej polityki miała być konfederacja wszystkich plemion. W przeszłości zawierały one niejednokrotnie sojusze, lecz ich organizacja pozostawiała wiele do życzenia i nie wytrzymywała próby czasu. Większość indiańskich przywódców pojmowała istniejące stosunki z plemiennej perspektywy, skutkiem czego plemiona działały odrębnie, a przedstawiciele rządu skrzętnie wykorzystywali odwieczne spory między nimi. Tecumseh wysunął plan stworzenia silniejszej ogólnoplemiennej konfederacji, której członkowie mieli pracować na rzecz wszystkich Indian, na drugim miejscu stawiając interesy poszczególnych plemion. Tylko taka konfederacja pod silnym przewodnictwem mogłaby uchronić Indian przed zalewem białych. Takie pojmowanie sprawy

było obec plemiennym politykom starej daty, dlatego Tecumseh nie wszędzie zyskał poparcie dla swych zamierzeń.

Ważne międzyplemienne, wpływy amerykańskie i wspomniany konserwatyzm takich przywódców jak Tarhe Wyandotów, Czarne Kopyto Szawanezów czy Pięć Medali Potawatomi sprawiły, że nie wszystkie plemiona przystąpiły do tworzonej przez Tecumseha konfederacji. Najprzychylniej odniosły się do tej idei algonkińskie plemiona Odźbwejów, Ottawów, Sauków, Lisów, Kickapuj, Potawatomi, sianicy Winnebagowie i irokescy Wyandoci. Niepowodzeniem skończyły się próby pozyskania ludów z południa - Czoktawów, Czikasawów i Krików. Jedynie wśród tych ostatnich Tecumseh znalazł nieco zwolenników. Swe podróże odbyte głównie w latach 1809-1811 łączył z rokowaniami prowadzonymi z przedstawicielami władz amerykańskich (głównie z gubernatorem Terytorium Indiany, Williamem H. Harrisonem), w których uparczywie nalegał na umiędzynarodowienie sprzedaży ziem, dokonanych bez zgody wszystkich zainteresowanych Indian, oraz z kanadyjskimi Brytyjczykami. Naprężone od lat i grożące wybuchem wojny stosunki angielsko-amerykańskie przyczyniły się do zbliżenia Brytyjczyków z Indianami. Na wypadek wojny pomoc tych ostatnich była dla Anglików wręcz bezcenna. Do wioski Proroka nad Tippecanoe zaczęły napływać z Kanady transporty z żywnością, bronią i amunicją.

Amerykanie doskonale zdawali sobie sprawę z zagrożenia. Harrison podrażniony udanymi najazdami na osiedla Illinois i Indiany utwierdził się w przekonaniu, że sprawy należy załatwić siłą i czekał tylko pierwszej po temu okazji. Nadarzyła się, gdy Tecumseh udał się nad Tippecanoe do plemion południowych, aby pozyskać je dla swych zamierzeń. Korzystając z jego nieobecności, Harrison na czele wojska i licznych ochotników wyruszył ku wsi Proroka⁷ i po bitwie rozegranej 7 listopada 1811 roku zniszczył ją i rozproszył zgromadzonych tam Indian. Choć bitwa nie złamała oporu

tubyleców, to jej wynik był wielkim ciosem dla Tecumseha. Wielu jego załamanych zwolenników wróciło do swych wiosek, wzrósł autorytet niechętnych mu wodzów i tym samym wzmocniły się wpływy Amerykanów. Po powrocie na północ, w styczniu 1812 roku, rozpoczął odbudowę swej konfederacji, stawiając tu sojusz z Brytyjczykami. Ci od dawna wspomagali Indian dostawami broni i żywności, a więc między nimi znacząca działalność brytyjskich agentów do spraw Indian, takich jak Aleksander McKee czy Mateusz Elliott, który przez czterdzieści lat żył wraz z Szawanezami i miał żonę z tego plemienia, toteż gdy w lipcu 1812 roku Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Wielkiej Brytanii, Tecumseh przyprowadził sprzymierzonych Indian do obozu Anglików. Podczas działań wojennych podlegał bezpośrednio głównodowodzącemu sił brytyjskich w Kanadzie, generałowi Brockowi, z którym od razu się zaprzyjaźnił, a po jego śmierci pułkownikowi Henry'emu Procterowi. We wszystkich bitwach, w których wziął udział, wykazał się talentami strategicznymi i odwagą osobistą. Gdzie tylko mógł, chronił jeńców przed torturami i śmiercią. Poległ w bitwie nad rzeką Tamizą, 5 października 1813 roku, zabity prawdopodobnie przez pułkownika Richarda M. Johnsona dowodzącego kawalerią ochotników z Kentucky.

Wokół postaci Tecumseha, jak chyba wokół żadnego Indianina, narosło mnóstwo mitów, z których wiele, wbrew niezbitym faktom historycznym, utrzymuje się do dziś. Jeden z nich mówi, że ojciec Tecumseha był metysem i że Tenskawatawa był jego bliźniaczym bratem⁸. Oczywiście, Puckeshinwa był Szawanezem pełnej krwi, a Protok był młodszy od swego brata o co najmniej sześć lat, lecz panujące w dziewiętnastowiecznej Ameryce przekonanie, że wybitna jednostka musi koniecznie mieć w swych żyłach choć odrobinę krwi białych i niewyjaśnione jeszcze wówczas tajemnice genetyki sprzyjały rodzeniu się legendy. Spowikła ona nawet okoliczności śmierci Puckeshinwy, chociaż wiadomo, że zamordowali go biali łowcy nad Rzeką Szaloną w Ohio i że Methoataska co

roku przyprowadzała małego Tecumseha na grób ojca.

Inna legenda mówi o miłości wodza do Rebeki Galloway, córki starego pogromcy Indian, który osiedlił się w dzisiejszym okręgu Green w Ohio. Tecumseh miał odwiedzać „miłą, złotowłosą, o ciemnobłękitnych oczach dziewczynę”, która czytywała mu całe rozdziały z Biblii, Szekspira i historii starożytnej. Stąd między innymi miała się wziąć u Tecumseha doskonała znajomość angielskiego, choć wiadomo, że poznał ten język dopiero pod koniec życia i w związku z tym nie używał go często. Rebeka rzekomo przyjęła oświadczenia wodza, lecz pod warunkiem, że przyjmie on „obyczaje i strój jej rodaków”, na co ten oczywiście nie wyraził zgody. Doszło do rozstania i oboje nie spotkali się już więcej. Cała ta historia, choć absolutnie nieprawdziwa, została przyjęta nawet przez kilku poważnych biografów „największego Indianina” i stanowi osnowę historycznego przedstawienia, wykonywanego każdego lata dla turystów odwiedzających Chillicothe w Ohio.

Podobnie przedstawia się sprawa z liczbą plemion, jakie Tecumseh pozyskał dla sprawy zjednoczenia Indian. Choć wódz podróżował tylko po Ohio, Indianie, Illinois i częściowo po Wisconsin, wielu białych pionierów utrzymywało, że widzieli go na terenach od Nowego Yorku po Oklahoma. Są nawet taacy, którzy twierdzą, że przebywał wśród Czarnych Stóp na równinach Saskatchewan! Miał też oczywiście spędzać wiele czasu wśród plemion południowych. Opowiadający te rewelacje chcieli podnieść swój autorytet w oczach współczesnych, powołując się na znajomość ze słynnym wodzem. Za typowy przykład mogą posłużyć pamiętniki Johna D. Huntera, który mówi, że gdy był jeńcem Osagów, widział na jesieni 1811 roku Tecumseha przemawiającego do tych Indian. Zaprzecza temu pułkownik Auguste P. Chouteau, członek rodziny związanej z Osagami od dziesięcioleci mówiąc, że nie słyszał o czymś podobnym od żadnego Osaga. Plemię to było w owym czasie nękanie najwzięjszych sojuszników Tecumseha - Sauków

i Potawatomi i nie wydaje się, by wódz mógł liczyć tam na przychylnie przyjęcie. Podobnie niesprawdzone są informacje, jakoby przebywał ze swą misją wśród Czirokezów i Seminolów.

Istnieją oczywiście dalsze legendy wokół wodza Szawanezów. Wyruszając z Tuckabatchee, stolicy Krików, miał zapowiedzieć wielkie trzęsienie ziemi, które nastąpi z chwilą jego przybycia na północ, nad Tippecanoe. Miało ono przekonać sceptyków, że Pan Życia sprzyja jego zamiarom. Jeśli nawet i przepowiedział to wydarzenie, to nastąpiło ono, gdy znajdował się w Missouri lub Illinois, na długo przed powrotem do wsi Proroka. Podobnie nie ma żadnych dowodów, że został generałem brygady w armii brytyjskiej. General Brock podarował mu szpadę i szkarłatną szarfę, i najprawdopodobniej czerwony mundur oficerski, lecz nie posiadał upoważnień do nadania mu jakiegokolwiek rangi w wojsku. Nie też nie mówią na ten temat brytyjskie archiwa wojskowe.

Z biegiem lat uległ zmianie również wygląd Tecumseha. Choć często opisywano go jako wysokiego, szczupłego, przystojnego mężczyznę o jasnej cerze, zapiski mu współczesnych mówią, że wzrost jego nie przekraczał pięciu stóp i dziewięciu cali¹⁹, a barwą skóry nie odbiegał od innych Szawanezów. Powszechnie wiadomo, że zdobił nos srebrnym pierścieniem sięgającym mu górnej wargi, lecz niektórzy z jego biografów i późniejszych malarzy tworzących hipotetyczny portret wodza nie uwzględniają tej ozdoby. Choć wszyscy Szawanezi tamtych czasów przystrojali się w ten sposób, to biali Amerykanie uważali ten zwyczaj za coś barbarzyńskiego, za coś, co mogłoby zaszkodzić ich wyidealizowanemu wyobrażeniu o Tecumsehu.

Prawdopodobnie najwciśniętym portretem wodza jest łączone dzieło dwóch dziewiętnastowiecznych malarzy. Jest ono oparte na rysunku Pierre Le Du, królewskiego handlarza, który spotkał Szawanezów w Vincennes przed wojną 1812 roku. Przedstawia on Tecumseha w tubanie z orlim piórem i

ozdobami w nosie. Szkic ten wykorzystał nieznany oficer armii brytyjskiej malując wodza po spotkaniu z nim w zdobytych przez Anglików Detroit. Na obrazie nosi czerwony mundur, który zakładał przy pewnych uroczystych okazjach wraz z brytyjskim medalem. Portret ten po latach opublikował w swej książce Benson Lossing.

Tecumseh był dwukrotnie żonaty, a z jego drugiego związku z Mamate, starszą od siebie kobietą ze swego plemienia, narodził się jego jedyny syn, Pachethy. Dla wielu potomnych, tak białych jak i Indian, Tecumseh pozostał w pamięci takim, jakim scharakteryzował go po wielu latach wybitny znawca Indian, James Mooney:

„Imponującej postury, blisko sześciu stóp wzrostu i potężnie zbudowany, zachowywał się z godnością, a przed jego przenikliwym spojrzeniem opuszczał wzrok nawet brytyjski generał. Z ognistą elokwencją Claya i czystą logiką Webstera, o skromnym sposobie życia, uczynny myślą i działaniem, dzielny jak lew, lecz przy tym ludzki i wspaniałomyślny; jednym słowem - rycerz z przeszłości, poświęcił życie swemu ludowi.”

Aleksander Sudak

Brat Tecumseha powiedział, że jest prorokiem

Początkowo znany był tylko jako brat wielkiego Tecumseha. Jego prawdziwe imię brzmiało *Lalawethika* (Moony Głos), ale do historii przeszedł jako *Tenskwatawa* (Otwarte Dziwi). Twierdził, że miał wizję i ona uczyniła z niego proroka. Razem z bratem przemawiał do plemion na wschód od Missisipi, zaklinając ich do zjednoczenia się przeciw białym osadnikom, do porzucenia obyczajów białych i powrotu do tubylezych tradycji.

Gen. William H. Harrison, gubernator Terytorium Indian, obawiając się wpływu Tenskwatawy rzucił mu wyzwanie, rozgłaszając wśród plemion: „Kim jest ten domniemany prorok, który osmiela się przemawiać w imię Wielkiego Stwórcy? Jeśli rzeczywiście jest prorokiem, każe mu zatrzymać słońce, aby świeciło bez ustanku albo zmienić tor księżyca, albo powstrzymać bieg rzek, albo żeby sprawił, by umarli powstał z grobu.”

Tenskwatawa podjął to wyzwanie. Ogłosił, że w południe 16 czerwca 1806 roku spowoduje, iż zniknie słońce i ciemności ogarną ziemię. Zaćmienie słońca nastąpiło punktualnie i nadprzyrodzone moce proroka zostały potwierdzone. Jednak jego następna przepowiednia już się nie sprawdziła. Doradził wojownikom zaatakowanie kawalerii gen. Harrisona w Tippecanoe, zapewniając, że kule białych nie będą się ich imać. Doszło do starcia i wyznawcy proroka zostali rozbitci, tracąc jedną czwartą swych ludzi.

Osamotniony prorok przeniósł się do Kanady, gdzie przyznano mu emeryturę. Zmarł w Kansas w 1837 roku.

Natomiast w 1840 roku gen. Harrison wygrał wyścig do Białego Domu pokonując swego konkurenta dzięki sloganowi: „Tippecanoe and Tyler Too! (Jeśli [zwycięstwo] nad Tippecanoe to i nad Tylerem!)”.

Przypisy:

1. Pierwsza bitwa pod fortem Meigs nad rzeką Mammee miała miejsce 5 maja 1813 roku.
2. Bitwa nad rzeką Wielka Kanawha pomiędzy Szawanezami prowadzonymi przez Cornstalka i Wugmezykami pułkownika A. Lewisa odbyła się 10 października 1774 roku.
3. Było to największe w historii Indian zwycięstwo, które przyniosło wojsku amerykańskiemu 647 zabitych i setki rannych, straty Indian w zabitych i rannych nie przekroczyły 150 ludzi.
4. W bitwie tej rozegranej niedaleko zbiegu rzek Mammee i Auglaize sprzymierzeniecy prowadzeni przez Niebieskiego Kallana ponieśli klęskę z rąk generała A. Wayne'a.
5. Fort Greenville znajdował się blisko dwadzieścia mil na zachód od współczesnego Piąta w Ohio.
6. Dawny alkoholik Lalawethika (*Gizzechotka*) przyjął nowe imię jako symbol swej roli religijnego przywódcy Indian.
7. Wioska stała na północno-zachodnim brzegu Wabash, tuż poniżej ujścia Tippecanoe.
8. Patrz *Prawdziwe życie Skorzanicy Pomocnicy* piona Friedricha von Gagern.
9. Mierzył więc około 188 cm wzrostu.

Wojownicy i Wydawcy

Z Longinem Janem Okoniem, poetą i pisarzem, autorem popularnych powieści o tematyce indiańskiej rozmawia Marek Maciolek

M.M. Jest Pan autorem kilkunastu tomków poezji, zbioru legend i podań z Lubelszczyzny, jednak najbardziej znana jest Pańska twórczość „indiańska”. Co skłoniło Pana do zainteresowania się Indianami i włączenia ich w tematyczny krąg swej twórczości?

L.J.O. To wynik spostrzeżeń i osobistych doznań wyniesionych z lat wojny i okupacji. Najazd wrogich wojsk na ziemię polską i totalitarny terror w latach 1939-1944 uzmysłowił mi przyczyny tragedii plemion indiańskich. Analogie z Polakami były wówczas ostre i czytelne. To w tamtych latach zainteresowałem się historią i kulturą Indian. Od początku mojego pisarstwa dojrzewała we mnie myśl napisania historycznych powieści o Indianach. Kiedy w latach pięćdziesiątych zaczęto wznawiać utwory Karola Maya, postanowiłem stworzyć cykl powieści ukazujących prawdziwe dzieje Indian. Doświadczenia poetyckie i prozatorskie ułatwiły mi to zadanie. Początkowo miałem zamiar pisać o Pontiacu, ale w trakcie gromadzenia materiałów Nora Szezczańska ubiegła mnie, więc wybór mój padł na Tecumseha i tak powstał cykl obejmujący utwory: Tecumseh, Czerwonoskóry generał, Śladami Tecumseha i Płonąca preria. W roku 1990 wydałem Przełęcz grozy, której bohaterami są bracia Jękałb i Józef Sadowscy. Powieść ta jest

całością zamkniętą, choć zostawiłem sobie furtkę do kontynuowania dziejów bohaterów. Nie wiem jednak czy do tej kontynuacji dojdzie.

Pański cykl o Tecumsehu i Ryszardzie Kosie to już klasyka polskiej powieści o Indianach, do której dołączyłbym jeszcze dzieła wspomnianej przez Pana Nory Szezczańskiej, dalej - autobiografię Sat-Okha i późniejszą trylogię Krystyny i Alfreda Szklarskich. Wiesław Wernic z kolei stworzył odmianę „polskiego westernu”. Czy można zatem powiedzieć, że w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych stworzono „polską szkołę powieści indiańskiej”? Pamiętam, że w bibliotece znajdowałem ciągle nowe tytuły.

Tak, w powieściach „indiańskich” polskich autorów pojawiły się nowe, oryginalne cechy. Można więc dopatrzeć się „polskiej szkoły powieści indiańskiej”.

Czy może Pan wskazać, jakimi cechami się wyróżnia, na ile jest wierna tradycji i stereotypom, przeniesionym z powieści amerykańskich, a na ile od nich odbiega?

Do stereotypów należy ścieranie się dobra i zła (czerni i bieli), najeźdźca samotna i zwycięska walka bohatera pozytywnego, egzotyka fortów i osad wśród puszczy, stepów i gór, romantyzm kultury Indian, traperów i trampów... A nowe cechy to odmienne - niż to bywało w przeszłości - spojrzenie na dzieje indiańskich plemion, odrzucenie takich określeń w stosunku do Indian jak „dzicy”, „barbarzyńcy”, „szatani” itp. Ponadto osadzanie fabuły w realiach historycznych, wprowadzanie autentycznych postaci, ukazywanie prawdy o tragedii narodów indiańskich, szukanie polskich śladów wśród Indian i szereg innych cech, których próżno by szukać w utworach minionych epok lub u większości obcojęzycznych autorów współczesnych. Powieści „indiańskie” pisarzy polskich są utworami historyczno-przygodowymi, tak jak każda powieść tego gatunku, np. znakomita, wielka Trylogia Henryka Sienkiewicza.

Pańskim wkładem do tej klasyki jest niewątpliwie wprowadzenie motywów polskich. Czy postać Ryszarda Kosa, poza wzbogaceniem fabuły

o losy naszego rodaka, niesie jakiś dodatkowe przesłanie?



Tak, trylogia o Tecumsehu, a właściwie tetralogia oraz Przełęcz grozy niesie konkretne przesłanie. Uważny czytelnik, ten młody, i ten starszy, dostrzeże okrucieństwa i podłości europejskich najeźdźców stosowane wobec słabszych militarnie i liczebno Indian. Dzieje poszczególnych plemion, ich bohaterska walka w obronie swych terytoriów i godności, przywodzi epizody z historii Polski, a boje Polaków za „waszą i naszą” wolność też są zmiennym przesłaniem. W moich powieściach można znaleźć wiele innych paralel między tamtą a współczesną epoką. Trudno je tutaj wymieniać.

A czy zgodzi się Pan z taką tezą, że Polacy, podobnie jak Indianie, potrafili się doskonale bić o wolność, ale kiedy już ją wywalczą - nie bardzo wiedzą, co z nią zrobić?

Oczywiście, tę tezę dostrzegłem już dawno. Polacy, podobnie jak Indianie, potrafili wnieść się ponad osobiste i grupowe podziały i interesy, gdy trzeba stanąć do walki o niezawisłość, ale po

zwycięstwie zapominają o szczytnych idealach i zaczynają realizować często sprzeczne z dobrem narodu cele. Ileż w historii zła i tragedii przyniosły Polsce zawiązane konfederacje niezadowolonych wielmożów, ileż tragedii wynikało z nieuzgodnionych z Radą Starszych wypraw młodych wojowników indiańskich na osady białych lub obozowiska sąsiadów... Smutna to prawda.

Muszę Pana jednak sprowokować do odpowiedzi na pytanie, które nurtuje mnie od chwili pierwszej lektury Tecumseha. Chodzi mi oczywiście o autentyczność postaci Ryszarda Kosa. W dzieciństwie szalenie mi ta postać imponowała, zresztą do dziś zachowałem sporo tego idealizmu w myśleniu o życiu i świecie. Wracając jednak do pytania, o braciach Sadowskich i innych Polakach sympatyzujących - jak byśmy to dziś powiedzieli - z Indianami można znaleźć coś niecoś w historycznych przekazach. A jak to było z Ryszardem Kosem?

Posiadam przetłumaczony na język polski fragment z opracowania J. Milona Wojna Tecumseha, mówiący o Dicku Cosie, ale książki tej jednak nie miałem w ręku. Informacja jest niewielka, dla mnie była jednak inspiracją do stworzenia bohatera, będącego przeciwwagą dla Old Shatterhanda Karola Maya. Znakomity krytyk i historyk literatury, Jacek Kajtoch recenzując Tecumseha stwierdził, że nie ma to dla niego znaczenia, czy Ryszard Kos jest postacią autentyczną czy fikcyjną, albowiem mieści się w historycznej i kulturowej tradycji polskiej.

Pana powieści zawierają sporo wiedzy historycznej. Jak wygląda Pański warsztat pracy albo inaczej: jak przygotowuje się Pan do pisania nowej powieści?

Nim zabrałem się do pisania powieści indiańskich prawie dziesięć lat gromadziłem materiały. Były to czasy, w których docieranie do źródeł dotyczących historii kontynentu amerykańskiego było utrudnione. Penetrowałem antykwariaty, biblioteki i utrzymywałem kontakty z bibliofilami; zbierałem wszystko - od książek naukowych, pamiętników, reportaży, po mapy, wycinki

prasowe i beletrystykę. Kiedy wreszcie zdecydowałem się pisać o Tecumschu, odbyłem podróż do Anglii, gdzie zdobyłem sporo materiałów dotyczących wojny Wielkiej Brytanii z USA (1809-1812).

Moja pracownia literacka wyposażona jest dziś w pokaźne zbiory literatury naukowej i popularno-naukowej, traktujące o historii i kulturze ludów obu Ameryk. To mój podstawowy warsztat. A jak wygląda przygotowanie się do pisania kolejnej powieści? Chyba podobnie jak u większości pisarzy. Gdy zainteresuje mnie jakaś postać lub ciąg wydarzeń, wybieram materiał z różnych źródeł, sporządzam notatki, analizuję przyczyny zdarzeń, zbieram cechy osobowości historycznych postaci... W trakcie tych czynności i przemyśleń dojrzewa fabuła utworu, wtedy sporządzam konspekt powieści i... zaczynam pisać. Konspekt nie jest dla mnie wędzidłem; w trakcie pisania ulega on przekształceniom i różnorodnym zmianom, co jest fascynującym procesem tworzenia.

Pomówmy trochę o Pana poezji indiańskiej, która - moim zdaniem - jest nieco słabsza od prozy. Mam na myśli zbiór „Pamięć śpiewających rzek” i przekłady oryginalnej poezji indiańskiej. Pańskie przekłady to jedne z pierwszych w Polsce. Nasuwają mi się jednak wątpliwości, na ile był Pan wierny oryginałom, a na ile pozwolił Pan przemówić swej własnej poetyckiej wyobraźni. To odwieczny dylemat tłumacza: „traduttore, traditore”.

Poezja... Hmm, to odwieczny i zawili problem. Co jest, a co nie jest poezją? Każda epoka trochę inaczej patrzy na to zagadnienie. Mówi Pan, że „moja poezja jest słabsza od prozy”, być może, ale bez tej poezji nie byłoby tak właśnie napisanych powieści. To zauważyli niektórzy krytycy. A wracając do zbioru wierszy „Pamięć śpiewających rzek”, muszę zauważyć, że jedynie jeden z cyklów poświęcony jest tematyce indiańskiej, nosi tytuł: „Na motywach indiańskich”. Już sama nazwa cyklu wyjaśnia, że nie są to dosłowne tłumaczenia rytualnych pieśni, lecz swobodnie potraktowane adaptacje,

odbiegające często od anglojęzycznych tekstów. Zresztą, czy jest możliwe dosłowne tłumaczenie? Gdybyśmy je spreparowali, co pozostaloby z artyzmu pieśni? Nic. Dosłownie nic.

To prawda, w przypadku literatur tubylczych mamy do czynienia z wielokrotnym przekładem, bo już anglojęzyczne wersje dawnej twórczości oralnej Indian są mniej lub bardziej udaną adaptacją. Współcześni literaci indiańscy twierdzą, że należałoby poddać gruntownej krytyce przekłady tubylczych przekazów literackich, dokonywanych na przełomie XIX i XX wieku przez etnologów i historyków, których literackie kompetencje były rzecz jasna różne. Nasze adaptacje są kolejnym poziomem przekłamania. W ten sposób nigdy nie poznamy piękna i ducha oryginalnej twórczości indiańskiej. Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa poezji współczesnej, tworzonej już po angielsku.

Cały problem przekładu polega nie tylko na wiernym przekazaniu treści obcego wiersza, ale przede wszystkim na oddaniu jego nastroju, zamkniętego w nim uczucia, sposobu obrazowania, techniki wersyfikacyjnej i szeregu innych cech. Adaptując pieśni indiańskie, na które natknąłem się w różnych książkach anglojęzycznych, kierowałem się chęcią przekazania polskiemu czytelnikowi ich piękna i nierozzerwalnego związku człowieka z naturą. Ponadto są to też moje osobiste fascynacje ludową - jak byśmy to u nas określili - literaturą Indian.

Może przykład. Oto „Pieśń śmierci”:

*Nie boję się bólu,
nie boję się śmierci,
życie jest krótkie,
zwiewne jak mgła.
Sędziwy mędrzec
powtarzał ciągle:
tylko ziemia jest wieczna
i wieczne masywy gór.*

*Człowiek przemija,
trawa przemija.
Nie lękam się śmierci,
bo przetrwa ziemia*

i śnieżne szczyty gór.

„Pamięć śpiewających rzek” (s. 86)

Mówiąc szczerze, drażni mnie ta rozwlekłość. To wcale nie jest pieśń indiańska, bo ta zawsze była krótka, a śpiewak powtarzał wielokrotnie te same słowa, zmieniając jedynie ton głosu czy dźwięk instrumentu (fletu, bębena). Pierwotnie, pieśń śmierci Białej Antylopy, wodza Szejenów, brzmi następująco:

*Nic nie żyje wiecznie
Tylko ziemia i góry.*

Dramatyzm i głęboka prawda o życiu w kilku zaledwie słowach. W Pana wierszu jest to nieco rozmyte.

Pieśń śmierci jest znana prawie wszystkim plemionom i ma różne wersje, są znacznie dłuższe. Pan przytoczył najkrótszą. Nie miałem zamiaru przyswajając naszemu językowi indiańskich tekstów etnograficznych, bo to byłoby niemożliwe. Adaptacje rządzą się odrębnymi prawami. Proszę porównać „Jeźdźca bez głowy” Reida w adaptacji Jarosława Iwaszkiewicza z przekładem Z. Glinki, wydanym w „Iskrach” (1973), albo adaptację M.J. Zaleskiej Pięcioksiągu Przygód Sokolego Oka, wzniewioną niedawno pod tytułem „Mieszkaniec puszczy” i przekłady pokaźnych tomów Coopera, wydanych przez „Iskry” w połowie lat pięćdziesiątych - a będzie Pan miał obraz, jak dalece może adaptacja odbiegać od oryginału.

W moich adaptacjach nie „rozmyła się prawda o życiu”, choć są one rozwlekłe. We współczesnej poezji ścierają się różne konwencje twórcze. Jedna z nich preferuje miniatury poetyckie, inna rozlewną frazę. Ja wybrałem formę pośrednią i uważam, iż osiągnąłem postawiony sobie cel, ale na ten temat wolno nam mieć różne zdania...

Naturalnie, a nad czym Pan obecnie pracuje?

U wydawcy leży powieść „Przekleństwo Inków”, ukazująca zbrojne powstanie Indian Peru. Napisałem tę powieść wraz z żoną - Marią. Kiedy się ukaże, nie wiem. Teraz są trudne czasy dla polskich pisarzy.

Obecnie wczytuję się w dzieje Apaczów i sporządzam notatki. Zaczyna we mnie dojrzewać fabuła powieści. Ale nie mogę zdradzić swych wizji, bo jeszcze nie wiem, jaki przybiorą ostateczny kształt.

I znów wracamy do tematu „Indianie a literatura polska”. Mówi Pan o trudnych czasach dla naszych pisarzy. Nie dotyczy to chyba tylko omawianej przez nas tematyki, ale proszę powiedzieć, jak Pan widzi przyszłość polskiej powieści indiańskiej? W ostatnich 2-3 latach nie wydano przecież nic nowego. Nawet rocznica wyczynu Krzysztofa Kolumba w ubiegłym roku nie zaowocowała żadnym znaczącym dziełem. Co według Pana oznacza ten spadek popularności tematu indiańskiego?

Tematyka indiańska nadal cieszy się wielką popularnością. Rzecz w tym, że dawne wydawnictwa albo przestały istnieć, albo są na progu bankructwa. Nowe wydawnictwa prywatne i różne spółki polsko-zagraniczne gonią za zyskiem, szukają dawnej literatury, której nie chroni już prawo autorskie, więc nie muszą płacić honorariów ani autorom, ani spadkobiercom. Prócz tego, wydawcy ci najczęściej nie orientują się, na co czekają czytelnicy. Znam kolegów po piórze, posiadających maszynopisy powieści z Dzikiego Zachodu, ale nie niosą ich do niepewnych wydawców: paru pisarzy musiało sądzić się o honoraria.

A przyszłość? Chcę wierzyć, że przyjdzie czas pomysłowości dla polskich pisarzy. Tylko kiedy to będzie? Chyba nieprędko.

Życzę Panu na koniec mniej problemów wydawniczych i czekam na nowe Pańskie powieści. Dziękuję serdecznie za rozmowę.

„Indiańska” bibliografia Longina Jana Okonia:

Powieści:

- „Tecumsch. Lublin 1976

- „Czerwonoskóry generał”. Lublin 1979

- „Śladami Tecumscha”. Lublin 1981

- „Płonąca preria”. Lublin 1986

- „Przełęcz grozy”. Lublin 1990

Poezje:

- „Pamięć śpiewających rzek”. Cykl „Na motywach indiańskich” Lublin 1987, s. 49-86.

CHŁOPIEC PAŹDZIERNIKOWY

Chłopiec październikowy
skrywa swe tajemnice
w dotyku
ręki lub
puszce piwa
I klepie swą nogę
by przywołać
pstrąga -

Słyszałem jak szeptał
do wód
dzielących z nim wzję
podczas tęczy
Czułem jego kwilnie
w ramionach

Nie potrafiłem płakać za
chłopcem październikowym
gdyż lasy północy
zmieniły dlań kolor
I oddały
swe soki

Rzuca swe łzy
w dym sosnowego ognia
patrzac jak się kręci
I rozplywa

Czasu już tylko na
przeklinanie pracy
klepskie jedzenie
I chodzenie spać

Gwiazdy śnieżne syczą
w płomieniach
gdzie szukam marzeń
ciężkimi od magli oczyma
on chwyta moje myśli
I uśmiecha się chytrze
nad ogniem
W nadziei że chłopiec październikowy
rozgrzewa mi serce

Przełożyła Małgorzata Szparadowska/mm

Chłopiec lata
był taki sam —
błyskawica
w ciemności betonów
wyprowadziła go
na obserwację deszczu
zawitrowanych strumieni
podmywających brzeg
zmywających ciemność
I lato
płynąc na skraju
jesieni
Długie włosy smagały
mu twarz
zdejmując jego zapatrzenie
sprzed wielu lat
I obrazy mknące
po polach szalwi
I zachodach słońca
stawających sześcioty
w kropkach deszczu które
czeplają się żółtej trawy
Pomruk grzmotu
wracał do niego
zbyt często
Nawet we śnie
słyszał jeszcze
dzwonki na jej sukni

BARNEY BUSH - ur. 1946 w Sajline Co., w stanie Illinois. Poeta, nauczyciel i podróżnik z plemienia Shawnee-Cayuga. Studiował m.in. w Instytucie Sztuki Indian Amerykańskich (IAIA) w Santa Fe. Wydał co najmniej cztery tomiki poezji, wśród nich: *My Horse and Juke Box*, *Petroglyphs* (1982) oraz *Inherit the Blood* (1985). Jego wiersze tłumaczono na francuski, hiszpański, serbski i macedoński. W Polsce publikowane po raz pierwszy.

Pow wow
I znów jestem
w twoim kraju na północy
wielkie piękno silne jak
lek wpędzający ludzi
w obłęd
Szukam cię
wczesnym rankiem bo
nie tańczyłem „49”
tej nocy
mówią że
masz przyjechać —
W kurzu wokół
placu I wszędzie
w dymie ognisk
będę obserwował
— znamy to oboje —
jak noce nabierają chłodu
liście spadają za wcześnie
I pozorne tajemnice
rzucanych spojrzeń
znad stolików
I grających szaf
To było dobre nieznanie
uczucie chodzenie po
ulicy przynoszenie jedzenia
pomarańczowe liście klonów
padające nam do stóp
I przepełniony samochód
oklahomskich Indian
wykorzenionych — chcących wędzić
co robimy
dobre uczucie
w kralnie zimnych jezior
gdzie nieustannie tęsknił
za tobą
I tylko slychać jakieś pogłoski

po tym jak odjechałaś —
Światło dnia już nie wróci
pogrążyło się w innym
poranku
liście wzdrygają się
z nadejściem mrozu
Jezioro — płynne niebo
ciemność z wosku choć ruchoma
I żywa
choć świadoma zdrady
oczu w środku nocy
które zostawiły moją
niewinność ozdobną I popielatą
Wpatrywałem
I wierzyłem w urojone
poranki
witaając je pleśniami
I dotknęciem
pałców
a jednak *chtmook* ciągle
wygrywa w zdobywaniu
mego spokoju
Ręce pozostań nieruchome
u mego boku
aż ucieknę
do domu od ust
które zaciskają się w kłamstwach
aż pocują poranne
światło jutrzeńki
w rozpostarciu ramion —



Wiersze przetłumaczył Marek Mactolek

Sierpień miał się ku końcowi. Węże -
jak powładają legendy - odzyskiwały
wzrok po mleszczu ślepoty. Brzegi rzeki
Ohio spowijała cisza, choć z trzydziści
mil dalej woda powoli łączyła się z Missi-
sippi. Ciepłe chmury lata wisiały przykle-
jone do wilgotnego nieba, a Europejczycy
I Euroamerykanie wracali do domów ze
swej drugiej światowej wojny. W takich
właśnie czasach odcięto mnie od pepowiny
matki. Nie pamiętam krwistego słońca sto-
jącego wysoko na zachodzie.

Mówią, że mój pierwszy krzyk rozległ
się w chwili, gdy jastrząb pisał przelatu-
jąc nad domem. To musiało być wtedy, bo
przypominam sobie granie cykad.

Czasami myślę o życiach, których by-
łem częścią I trudno mi uwierzyć, że moje
dziećństwo to część mego życia dzisiaj.
(...) Może jest tak, że wszyscy uczymy
się chodzić z tym w równowadze I pięk-
nie, z naszą matką ziemią I naszym
stwiercą.

Barney Bush

W "Tawacinie" nr 1 (18) z 1992 roku pisaliśmy o literackim projekcie "ODWZAJEMNIC DAR", którego główną cześć stanowić miało spotkanie tubylczych pisarzy na Uniwersytecie Oklahomy. Tym razem publikujemy korespondencję z tego Festiwalu, której autorem jest Jim Northrup Jr. - czipewski publicysta z rezerwatu Fond du Lac w Minnesocie, redaktor wydawanego w Minneapolis indiańskiego miesięcznika "The Circle".

Jim Northrup Jr.

DAR ODWZAJEMNIONY

Wyruszyliśmy z Fond du Lac do Norman w Oklahomie, by wziąć udział w wydarzeniach na Uniwersytecie Oklahomy. Jechaliśmy na Festiwal Tubylczych Pisarzy Ameryki Północnej, zorganizowany w dniach od 7 do 10 lipca 1992 r.

Droga była prosta. Wjechaliśmy na autostradę międzystanową nr 35 i zjechaaliśmy z niej koło Norman. Po drodze mineliśmy przez Iowę, Missouri i Kansas. Nudna Iowa była jak zwykle sobą. Missouri ledwo pamiętamy. W Kansas zaczęliśmy wypatrywać na niebie burzy. Zużywszy galony kawy i benzyny dotarliśmy do rudych piasków Oklahomy. Pospujające ropę żurawie kłaniały się nam po drodze.

Było gorąco. Termometr wskazywał 100 stopni F. i taką samą wilgotność. Było nieznosnie upalnie, wilgotno i wietrznie. Pogoda przypominała nam, dlaczego mieszkamy w chłodnej Minnesocie.

Rozłożyliśmy się w klimatyzowanym motelu i ruszyliśmy na Uniwersytet. Natychmiast ujrzeliliśmy znajome twarze. Z naszych rodzinnych stron byli tam Red Elk Banks i Roberta Hill Whiteman.

Sponsorami Festiwalu były Fundacje: Baya, Dodge'a, Kelloga, New York Times'a, Paula i Bynnera, Towarzystwo Poezji Amerykańskiej (PSA), Rada Kultury Stanu Oklahomy i Fundacja Wingspread. Szefem komitetu organizacyjnego, który przygotował Festiwal był Joseph Bruchac z Greenfield Literary Review.

Dni wypełnione były spotkaniami i warsztatami. Warsztaty poświęcone były pisaniu opowiadań, poezji, esejów, powieści i literaturze tubylczej w szkole. Było ich tak wiele, że wybór był trudny.

Miło było ujrzeć znowu Simona Ortiza. Minęło ładnych parę lat, odkąd zawiązał ze swymi słowami do Minnesoty.

Specjalnym bankietem uhonorowano laureatów Pierwszej Literackiej Nagrody dla Tubylczych Pisarzy Ameryki Północnej

zaś N. Scott Momaday otrzymał Nagrodę Specjalną za swój literacki dorobek. Zdobywca nagrody Pulitzera mówił o pisaniu i czytał fragmenty swojej nowej pracy o Dziesięciu Niedźwiedziach.

Dla nas najważniejsze były spotkania i rozmowy z około 200 tubylczymi pisarzami. Siadaliśmy razem do lunchu, spotykaliśmy się na kawie i dyskutowaliśmy na temat pisania. Wieczorami mieliśmy do wyboru któryś z ponad 30 odczytów. Odbywały się one w trzech różnych miejscach. Niektóre wybory były bardzo trudne. Czy pójdź na Leslie Marmon Silko, czy na Lansa Hensona? Jak wybrać między Mauriceem Kenny a Simonem Ortizem? Czy posłuchać Basila Johnstona, czy Dianne Glancy? Musieliśmy się sporo nabiegać.

Już samo przebywanie z pisarzami wystarczyło, bym pędził do domu z pragnieniem napisania czegoś nowego. Podczas festiwalu mówiono o utworzeniu organizacji tubylczych pisarzy i o kolejnym spotkaniu. Jeśli chodzi o nas, warto było przejechać 900 mil. W drodze do domu przez Kansas ścigało nas tornado. Później walczyliśmy z sennością na szosie.

Wspomnienia opowieści snuty z Basilem Johnsonem przy dzbanku kawy, kontakty nawiązane z innymi pisarzami - wszystko to budowało miłe wspomnienia, które mamy po tym festiwalu. Samo przebywanie z tubylczymi pisarzami wynagrodziło nam wszystkie te godziny spędzone w drodze i wszystkie godziny spędzone w samotności przed klawiaturą komputera.

Przy okazji wyknęliśmy się z festiwalu, by zagrać w bingo. Tak, przyczyniliśmy się do rozwoju ekonomicznego plemienia z Oklahomy. Krupierzy byli równie bezwzględni, jak ci u nas. Tak, wybrałibyśmy się w taką podróż jeszcze raz, ale nie po to, by grać w bingo.

tłumaczenie M. NowoCIEN

GŁOSY TUBYLCÓW POŁUDNIOWEGO ZACHODU

10^{oo} WIADOMOŚCI

disc jockey berstein
mówi o Indianach
w dzienniku o dziesiątej
hej byli urzędnicy na całego
włem że każdy mówi
o wczorajszych Indianach
mordercza pogoń za bizonem
po wzgórzach kansas
żelazna kolej włożąca postęp
dzisł może jutro
w włączach tańca ducha
odkryjemy to czego
nie wie berstein
co mówią Indianie w tych dniach
w tłumaczeniu na wino
on tego nie wie a czasem
nawet sami Indianie
nie wiedzą bo wlerzą w pociągł
i to co mówi lm berstein
w dzienniku o dziesiątej



JAK ZDOBYTO DZIKI ZACHÓD

Pod takim tytułem w programie 2 Telewizji Polskiej rozpoczęto 4 września br. projekcję najlepszych amerykańskich westernów (70 filmów przez blisko półtora roku!). Przegląd otworzył obraz trójki reżyserów: Forda-Marshalla-Hathawaya JAK ZDOBYTO DZIKI ZACHÓD (1962) z udziałem Henry'ego Fondy, Gregory Pecka, Jamesa Stewarda, Johna Wayne'a.

Autorzy cyklu zapowiadają, obok klasycznych westernów (np. DYLIŻANS, RIO BRAVO) także najlepsze filmy Indianie, wyświetlane w Telewizji po raz pierwszy (np. MAŁY WIELKI CZŁOWIEK, NIEBIESKI ŻOŁNIERZ), lub wznawiane po wielu latach od premiery (np. JESIEŃ CZEJENÓW, CZŁOWIEK ZWANY KONIEM).

Warto więc śledzić program telewizyjny (TP2, zawsze w sobotę około 22.00) i zaopatrzyć się w większą ilość kaset wideo, bo okazja to niepowtarzalna.

MM

INDIANIN BEZ ZIEMI TO INDIANIN BEZ DUSZY

Sprawozdanie ze Światowej Konferencji Praw Człowieka Wiedeń, 14-25 czerwca 1993 roku

Do Wiednia pojechałem z kilkusobową grupą członków gdańskiej Amnesty International (AI). Zostaliśmy tam wysłani jako ochotnicy do pomocy przy różnych pracach i imprezach organizowanych przez AI w czasie trwania Konferencji (np. rozdawanie ulotek informacyjnych na ulicach Wiednia).

Wiedeńska Konferencja, zorganizowana przez ONZ, była największą tego typu imprezą od roku 1968, kiedy to w Teheranie odbyło się podobne spotkanie. Głównym jej celem, ogólnie rzecz biorąc, było wypracowanie skuteczniejszych metod działania w obronie praw człowieka. Jednakże przedstawiciele niektórych państw (np. Chin i Kanady) sprawiali, w moim odczuciu, wrażenie jakby przyjechali do Wiednia w celu dokładnego odwrotnym. Przedstawiciele władz chińskich jakby zapominając, że uczestniczą w konferencji poświęconej prawom człowieka, przeciwstawili się uczestnictwu w niej duchowemu przywódcy Tybetańczyków, Dalaj Lamie. W rezultacie spotkanie z nim odbyło się w pobliskim parku w strugach deszczu (dawno tak nie przemokłem), zorganizowane przez AI.

Kanada natomiast uparcie broniła swego stanowiska nieprzyznawania tubylcom statusu "ludów" (ang. peoples). W rezultacie w oficjalnych dokumentach tubylcze społeczności figurują jako tylko obywatele danego państwa, "ludzie" (ang. people), a nie jako "ludy", "narody" (ang. peoples) z prawem do samookreślenia. (Szerzej pisaaliśmy o tym w poprzednim numerze, str. 47).

Światowa Konferencja Praw Człowieka miała miejsce w wiedeńskim kompleksie budynków, nazywanym przez Austriaków UNO City, należącym do ONZ. Odbywała się niejako na dwóch poziomach: rządowym (przedstawicielstwo rządów poszczególnych krajów) uniejscowionym na wyższych piętrach, oraz pozarządowym (przedstawiciele organizacji

pozarządowych, ang. NGO, działających na rzecz praw człowieka) usytuowanych na niższych piętrach budynku.

Na spotkaniach grup pozarządowych uczestniczyło około dwa tysiące osób z całego świata. Tematy dyskusji to szeroko pojęta problematyka praw człowieka: prawa mniejszości narodowych, mniejszości seksualnych, prawa kobiet, prawa ludów tubylczych, sprawa Kurdów, zbrodnie w byłej Jugosławii itd.

Pomimo obowiązków, jakie na mnie nałożono miałem możliwość uczestniczenia w kilku spotkaniach poświęconych tubylczym ludom, których przedstawiciele przybyli do Wiednia w liczbie ponad stu (w większości Indianie). Problematyka poruszana podczas tych spotkań była bardzo różnorodna. Organizatorem tych spotkań i opiekunem tubylczych delegatów była austriacka sekcja Stowarzyszenia na Rzecz Zagrożonych Ludów.

Oto krótki opis jednego ze spotkań, które toczyło się pod hasłem "Eksploatacja surowców naturalnych i łamanie praw tubylców". Rozpoczęto je modlitwą wygłoszoną przez Lakotę Oglala Birgla Kills Straight. Po modlitwie głos zabrał wódz Indian Kri znad Zatoki Jamesa w Kanadzie, Ted Moses. Opowiadał o walce swego ludu o uzyskanie prawa do samookreślenia oraz przeciwko niszczeniu ich ziem przez budowę elektrowni wodnych, w wyniku czego zataplane są ogromne obszary stanowiące dla Indian źródło przetrwania. Po nim głos zabrał Bob Epstein, były prawnik działający na rzecz Kri. Mówił m.in. o postanowieniach zawartych w porozumieniu Indian Kri z rządem Kanady (tzw. James Bay Agreement). W porozumieniu tym rząd zobowiązał się dostarczać wodę bieżącą Indianom wysiedlonym z miejsc zalanych pod budowę elektrowni. Są to jednak tak niewielkie ilości wody, że w wyniku złych warunków sanitarnych wśród Indian wybuchają epidemie

chorób. Konkludując, Bob Epstein stwierdził, że sytuację taką można wytłumaczyć tylko przejawami rasizmu wobec Indian.

Następna sprawa dotyczyła eksploatacji węgla kamiennego i ropy naftowej na ziemiach Indian Yukpa i Bari w Wenezueli. Esmerita Romero, przedstawicielka Indian Yukpa wyjaśniła zagrożenia, jakie płyną ze strony dużych kompanii naftowych, takich jak Maravan, Shell i Agip. Na zakończenie swego przemówienia Esmerita Romero powiedziała: „Żyłśmy kiedyś szczęśliwie i nie potrzebowaliśmy żadnych produktów białego człowieka, ani jedzenia, ani ubrania. Teraz musimy walczyć o prawo do ziem odziedziczonych po przodkach. Przybyliśmy do Europy, aby prosté o poparcie dla naszej walki.” Jose Aragallou, reprezentujący Indian Bari powiedział w uniesieniu: „Wiem, że prawo jest po naszej stronie. Zatrute ryby, zanieczyszczona woda, choroby powstałe w wyniku korzystania z zanieczyszczonych rzek - nigdy nie przestaniemy walczyć z tym. Proszę, pomóżcie nam. Nie potrzebujemy waszych pieniędzy, potrzebujemy waszego poparcia.” Następnie Marielba Barboza, latynoska prawniczka z Caracas działająca na rzecz Indian Yukpa i Bari zwróciła uwagę na ogromne ubóstwo Indian w jej kraju.

- Abstrakcyjne dyskusje o legislacyjnych procedurach - powiedziała - mają niewiele wspólnego z codziennymi problemami tubylczych ludów. Prawo do samookreślenia jest oczywiście istotne, ale ważniejsze jest jedzenie i woda.

Blali ludzie w Wenezueli, jak twierdziła pani Barboza, nadal mają wiele uprzedzeń. Na przykład Bari postrzegani są jako dzicy, okrutni ludzie, podczas gdy ich Bóg-Stwórca kazał im się cały czas uśmiechać. (Obserwując Esmeritę Romero doszedłem do wniosku, że jej przemówieniu nakazał to samo - nigdy dotąd nie widziałem tak szczerze śmiejącego się człowieka).

Kontynuując Marielba Barboza powiedziała, że podczas większości rozpraw sądowych odmawia się Indianom Bari prawa do tłumacza, szczególnie wtedy gdy

ma być podpisane porozumienie między Indianami rządem. Nie ma nawet możliwości zakwestionowania koncesji na wydobycie węgla kamiennego.

- Indianin bez ziemi to Indianin bez duszy - tym stwierdzeniem pani Barboza zwróciła uwagę na zależność między Indianinem a jego ziemią. - Czy będą istnieć jeszcze Jacysy Bari za pięć lat aby walczyć o swoje prawa? Czy te zbrodnie nigdy się nie skończą - mówię o ludobójstwie i etnobotwójstwie? - tymi słowami zakończyła Marielba Barboza swoje przemówienie.

Na spotkanie zaproszono również przedstawicieli rządów. Po przedstawieniu każdej sprawy wywoływano tychże przedstawicieli by mogli ustosunkować się do stawianych zarzutów. Jednakże ani po omówieniu pierwszej sprawy, ani po wystąpieniu pani Barbozy nikt nie zgłosił się „na dywanik”. Pani Barboza podsumowała to następującym stwierdzeniem:

- Istnieje paragraf w prawie Wenezueli mówiący, że absencja oskarżonej strony oznacza jej winę. Wiemy co myśleć o nieobecności przedstawiciela rządu.

Stwierdzenie to nagrodzone zostało przez kilkudziesięciu słuchaczy gromkimi brawami.

Na spotkaniu obecny był także Valerio Greña, generalny koordynator COICA, organizacji koordynującej działalność kilku tubylczych grup z Amazonii. Nie zdążył jednak zbyt wiele powiedzieć, gdyż po tym, jak doszłygo słuchy, że władze ekwadorskie chcą go aresztować, po prostu „uolotnił się”. Później na Euro-meetingu w Norwegii dowiedziałem się, że prawdopodobnie został aresztowany.

Dużo natomiast powiedział Aucan Hualcaman Pallama, przedstawiciel Indian Mapuche z Chile (który z powodu aresztowania nie mógł uczestniczyć w zeszłorocznym Euro-meetingu). Podczas „dnia tubylczych ludów” na poziomie rządowym przedstawił 12 postulatów, m.in. ogłoszenie przez ONZ „dekady tubylczych ludów”, stworzenie możliwości współpracy przedstawicieli tubylczych narodów przez nie wybranych z Wysokim Komisarzem Praw Człowieka, czy wreszcie uwolnienie Leonarda Peltiera.

Udało mi się także uczestniczyć w spotkaniu z Laureatką Pokojowej Nagrody Nobla, Rigobertą Menchu Tum. Stwierdziła ona m.in. że do tej pory "Rok Ludów Tubylczych" ogłoszony przez ONZ nie przyniósł tubylcom nic konkretnego. Dość krytycznie wypowiedziała się o działalności organizacji pozarządowych, zarzucając im zbyt małą aktywność i skuteczność w działalności na rzecz tubylców.

Oprócz przemówień i pełnych powagi spotkań miały miejsce również imprezy o charakterze bardziej swobodniejszym. Codziennie na przykład przed budynkami ONZ odbywało się przedstawienie indiańskiej grupy tancerzy z Meksyku, którzy w przepięknych strojach wykonywali tańce Azteków. Z kolei w połowie trwania Konferencji, podczas weekendu na sztucznej wyspie na Dunaju urządzono festyn. Panowali tam atmosfera wielkiego pikniku, "tańce, hulanki i swawola". Ja (oczywiście) byłem tam, gdzie prezentowali się przedstawiciele ludów tubylczych. Moc wrażeń, nie jestem w stanie opisać tego wszystkiego, co widziałem i słyszałem. Był piękny program przygotowany przez Filipińczyków z udziałem filipińskich tubylców, niosący przesłanie życia w zgodzie z ludźmi i całym otaczającym nas środowiskiem; były tańce Indian Maya z Gwatemali, towarzyszył tańcom Lakotów prowadzony przez sędziwego Lakotę z Pine Ridge Johna Looking Cloud, do którego zaproszeni zostali wszyscy chętni, z czego (pokonując nieśmiałość) skorzystałem. Była także pieśń Indian Yukpa w solowym wykonaniu niesamowicie sympatycznej Esmerity Romero. „Z pewną nieśmiałością” próbowałem z nią porozmawiać i w tym momencie „z siłą wodospadu” oświeciła mnie pewna myśl. Mianowicie na własnej skórze przekonałem się jak bardzo ważna jest znajomość języków obcych (nie tylko angielskiego, który akurat wtedy okazał się bezużyteczny). Otóż Esmerita Romero mówiła słabo po hiszpańsku, a ja prawie wcale... Skończyło się na tym, że kupiłem od niej piękny pleciony talerz ozdobny, a pani Barboza wytłumaczyła jej, że jestem tubylcem mieszkającym kilkaset kilometrów od Wiednia, w takim innym kraju europejskich tubylców, który chce poma-

gać tubylcom z Wenezueli. (Sądzę, że wielu Indian przybyłych do Wiednia niewiele wdziało o Europie, na przykład pewien Indianin z Alaski zapytał mnie czy mówię tym samym językiem, co Włedźczycy). Po tych perypetiach językowych wróciłem do domu z mocnym postanowieniem uczenia się codziennie języka hiszpańskiego. Dobrze to sobie wykombinowałem?

Porzucając nieco frywolny nastrój przechodzę do spraw poważnych i zgola tragicznych. To, co działo się na rządowym poziomie Światowej Konferencji Praw Człowieka w Wiedniu można określić jako "wstyd i hańba". Najlepiej wyraził to Sekretarz Generalny Amnesty International, Pierre Sane opisując pierwszy tydzień Konferencji w wywiadzie udzielonym Niezależnemu Dziennikowi Światowej Konferencji Praw Człowieka *Terra Viva*. Oto fragment tego artykułu, zatytułowanego "Amnesty: Tydzień wstydu". Był to "tydzień politycznych aresztowań, tydzień uprowadzeń, tydzień 'zaginięć', tydzień tortur, tydzień egzekucji. A nade wszystko - powiedział Pierre Sane - był to tydzień politycznych zabójstw (...) Ludzie, którzy mają tortury i morderstwa na swoim koncie, siedzą tutaj, w Wiedniu, deklamując frazesy o prawach człowieka." Nie ma żadnego dowodu - powiedział - że jakkolwiek z obliczonych na pół miliona słów, wypowiedzianych przez przedstawicieli rządów niemal połowy świata w ciągu tygodnia, uratowało chociaż jedno życie. Nie ma żadnego dowodu, że wydano choćby jeden rozkaz powstrzymujący tortury i zabójstwa.

Następna konferencja tego typu ma odbyć się za cztery lata na Hawajach. Czy do tego czasu coś się zmieni na świecie? Będzie to zależało od tych, którzy ten świat tworzą, czyli od każdego z nas...

Wiesław Kołeczek

* Cyt. za: *Terra Viva*, nr 10, czerwiec 1993 (Wiedeń). Przeł. W.K.

WIESŁAW KOŁECZEK

ŚRODOWISKOWE BARBARZYŃSTWO I „CICHE” LUDOBÓJSTWO W EKWADORZE

I. Lasy pachnące ropą

Mij, Indianie Stona postanowiliśmy usunąć rozlaną ropę. To są nasze Jeztora, nasza ziemia, na której żyjemy od pokoleń. Jest to szczególnie miejsce dla nas, rozumiesz? Jeztora i lasy dzielą się z nami życiem od wieków. Teraz to Jeztora potrzebuje naszej pomocy aby usunąć ropę. Lecz musimy to robić rękoma i to jest problem, ponieważ późnie musimy usunąć ropę z ciała za pomocą benzyny. Nasi ludzie chorują, lecz postanowiliśmy to kontynuować, aby lasy nie umarły. Najgorszą rzeczą jest jednak fakt, że jest tego [ropy] coraz więcej. Mówię ci te słowa abyś mógł zabrać je tam, skąd pochodzisz...

DON VICTORIANO, 73-LETNI SZAMAN Z REZERWATU CUYABENO WILDLIFE

Ekwadorskie lasy tropikalne Zachodniej Amazonii o powierzchni 13 milionów hektarów tworzą jeden z najbardziej różnorodnych biologicznie obszarów ziemi. Zawierają one dziesiątki tysięcy gatunków roślin i są siedliskiem unikalnych gatunków zwierząt.

Na obszarze tym, znanym jako Oriente, mieszka osiem tubylczych narodów, których populacja wynosiła niegdyś setki tysięcy. Działają liczność tych ludów razem wziętych wynosi nie więcej niż sto tysięcy. W ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci Oriente stało się również domem dla wzrastającego strumienia osadników, którzy liczebnością przewyższają tubylców w stosunku cztery do jednego.

W 1972 roku firma TEXACO oraz państwowa kompania naftowa PETROECUADOR rozpoczęły proces wydobycia ropy naftowej w północno-wschodniej ekwadorskiej Amazonii, zwracając niewiele uwagi na szczegółowe prawodawstwo o ochronie środowiska naturalnego w Ekwadorze.

Otoczenie na 90% obszaru Oriente około dwudziestu kompanii prowadzi działalność wydobywczą, z czterystoma czynnymi odwiertami produkującymi siedemnaście milionów litrów toksycznych odpadów dziennie. W konsekwencji indiańskie dzieci łapią się w czymś, co bardziej przypomina polskie śleki niż rajskie rzeki znane na przykład z filmu *Młota*. Owe rzeki stanowią często jedyne źródło wody pitnej dla Indian i osadników. Patent Jeztor niechcianej ropy, praktykowane przez kompanie naftowe przyczynia się do powstawania kwaśnych deszczów zatruwających rośliny i zwierzęta. Pożoga to za sobą katastrofalne skutki dla zdrowia ludzi. Powszechne są choroby skóry i problemy z oddychaniem, wzrasta liczba nowotworów.

Aby ułatwić sobie dostęp do indiańskich ziem, stosuje się metody dekulturacji. Według państwowej kompanii naftowej PETROECUADOR wykorzystuje się protestanckie sekty, takie jak „The Summer Institute of Linguistics” do stworzenia *hybrydalnego procesu religijnego zainteresowań połączonego z ambicjami kompanii naftowych, który powoduje kulturowo-religijną zależność w celu zapewnienia sobie panowania nad tubylczymi ludami i wykorzystania ich pracy do eksploatacji bogactw ziemi*. Społeczności czy jednostki, które podlegają wpływom kompanii naftowych lub misjonarzy, wykorzystywane są do wspierania rządowej propagandy, która głosi, że tubylcze narodowości popierały rozwój przemysłu wydobywczego.

Rząd Ekwadoru przygląda się tym wszystkim działaniom „przez palce”, gdyż ze względu na ogromne zadłużenia, sytuacja ekonomiczna kraju jest tak skomplikowana, że pozwala się na eksploatację jakiegokolwiek bogactw naturalnych nie zwracając uwagi na problem degradacji środowiska.

II. Ludzie lasu

Region Oriente zamieszkiwany jest przez osiem tubylczych ludów: Qulchua, Shuar, Achuar, Shiwiar, Huaorani, Cofan, Siona i Secoya. Najbardziej licznymi grupami etnicznymi są Qulchua i Shuar. Populacja Cofan licząca kiedyś piętnaście tysięcy spadła obecnie do trzystu osób. Cofan wraz z Siona i Secoya mieli nieszczęście zamieszkiwać północną część Oriente, która poddana została najbardziej intensywnej eksploatacji. Tysiąc pięćset Indian Huaorani, którzy liczyli niedługo kilkanaście tysięcy osób, walczy dziś o utrzymanie swego rezerwatu o powierzchni 670 tysięcy hektarów, stanowiący pozostałość dawnego terytorium liczącego 2 miliony hektarów. Indianie Shiwiar, Shuar i Achuar, jak również większość Qulchua mieszkają w prowincji Pastaza nad rzeką o tej samej nazwie (patrz mapa) oraz w południowej części Oriente. Tereny te do niedawna wolne były od wydobywczej działalności kompanii naftowych. To jednak należy już do przeszłości. W kwietniu 1992 roku prace wydobywcze rozpoczęła tam amerykańska kompania ARCO.

Tubylcze ludy od tysięcy lat żyły w doskonałej harmonii z otaczającym je środowiskiem przekazując z pokolenia na pokolenie tajemnice życia. Poważne zagrożenie ze strony cywilizacji białego człowieka pojawiło się dopiero w XIX wieku wraz z odkryciem kauczuku. Pomimo najazdu białych ludzi szukających fortuny w przebogatych lasach Amazonii, tubylcom z Oriente udało się utrzymać swe kulturowo-społeczne wartości. Mimo że wielu nosi obecnie zachodnie ubrania, większość nadal irzyma się swych duchowych i illozoicznych korzeni. Pomimo stopniowego przyswajania nowości cywilizacyjnych nadal prowadzą naturalny sposób życia utrzymując się z tego, co upolują, złowią lub zbiorą. Leśne rośliny mają dla nich szczególne znaczenie. W celach żywieniowych, medycznych i religijnych używają ponad siedmiuset gatunków roślin. Żywną rolę dla przetrwania tubylców odgrywają czyste strumienie i rzeki. Czy uda się je ocalić?

III. To jest także nasz problem...

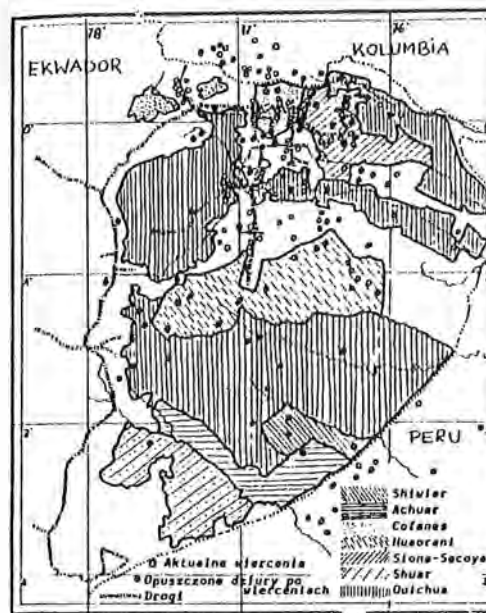
Czujemy się osamotnieni w walce z kompaniami naftowymi, ponieważ one, jak również, rząd mówią wiele kłamstw. Ziemia nie jest dla nas towarem, który można sprzedać czy kupić. Ziemia jest naszym życiem. Problem polega na tym, że Ekwador ma bardzo słaby system polityczny, który wykorzystywany jest przez spółki międzynarodowe. Amazonia niszczona jest nie przez Indian, ale przez Europę i USA. Jesteście konsumentami, musicie zatrzymać zniszczenie. Sądzę, że rządy tego świata są świadome iż wykopią sobie własny grób. Jeśli nie podejmą natychmiastowych działań. My, zwykli ludzie tego świata, z Europy i USA - wszyscy - zostaniemy również pogrzebani w tym grobie. Spróbujcie: sobie wyobrazić, że wszyscy siedźmy w kółku Międzynarodowe spółki zainstalowały w niej mocny silnik pchający kółko w kierunku uodospadku. My wszyscy, zwykli ludzie, którzy mamy tylko włoska, rozpaczliwie wloshujemy, żeby zmienić kierunek. Taka jest obecna droga świata.

LEONARDO VITERI, CONFENAIIE
(KONFEDERACJA TUBYLCZYCH NARODÓW
EKWADORSKIEJ AMAZONII)

Na naszych oczach i niejako za naszym przyzwoleniem dokonuje się w Ekwadorze i wielu innych krajach Ameryki "ciche" ludobójstwo. "Ciche" - ponieważ proceder ten odbywa się zasadniczo bez wystrzałów karabinowych i jakby nieco z dala od światowej opinii publicznej. Skutki są jednak podobne jak podczas masowych mordów w Chinach, byłej Jugosławii czy w zakamarkach byłego Związku Radzieckiego, opisywanych na pierwszych stronach gazet.

Świat tubylczych Amerykanów jest poważnie zagrożony. Zniszczenie tubylczych kultur amerykańskich może przynieść nieodwracalne skutki również tym, którzy je niszczą, to znaczy: cywilizacji białego człowieka, naszej cywilizacji. Kto wie, czy w mądrościach ludzi "prymitywnych" nie leży klucz do rozwiązania wielu problemów świata „cywilizowanego”.

Obecnie różne organizacje europejskie i amerykańskie prowadzą kampanię mającą



INCOMINDIOS (zob. TAWACIN 1992 nr 3) dotację w wysokości 110 DM m.in. od PSPI oraz Łódzkiego Klubu Przyjaciół Indian. Grupa SOCONAS INCOMINDIOS, która przekazała na ten cel ponad 1000 USD, do niedawna utrzymywała bezpośredni kontakt z Indianami z prowincji Pastaza (na wrzesień przewidziany był przyjazd Carlosa Viteri), przekazując również informacje do Polski. Ostatnio jednak napłynęły nieoficjalne wiadomości o aresztowaniach przywódców Indian za działalność w obronie ziem (były manifestacje i starcia z policją).

Wiesław Koleczek

Opracowano na podstawie książki Clive'a Gryllsa, *Environmental Hooliganism in Ecuador*. Oslo 1992 oraz warsztatów przeprowadzonych w czasie 9 Europejskiej Konferencji Grup Poparcia Indian.

Post scriptum

Nawiązując do wypowiedzi Leonarda Viteri sądzę, że warto abyśmy zadali sobie pytanie, jak my, polscy przyjaciele Indian, mamy udział w tym wioślowaniu? Pisałem już nieco na ten temat w poprzednich TAWACINACH oraz w Biuletynie PSPI motywując swoje wystąpienie ze Stowarzyszenia. Obawiam się, że kroczymy drogą prowadzącą donikąd. Koralki, piękne stroje, trzepoczące pióropusze, udział w religijnych ceremoniach Indiankich... owszem, to wszystko ma swój urok, ale co z tego wynika? Czy nie jest to przypadkiem naruszeniem pewnego *sacrum*?

To co dzieje się wśród nas, przyjaciel Indian, przywoździ mi na myśl sytuację, kiedy to grupa ludzi wychwała zalety swego przyjaciela, naśladując nawet jego sposób bycia czy ubierania się, podczas gdy ów nieszczęśliwie się topi. Niechętni usiłują go ratować, niestety nie dają rady. Grupa dalej zachwyca się swoim przyjacielem, ale dla niego nie ma to już żadnego znaczenia. Jest już za późno, utonął.

WK



PIASKIEM MALOWANE

Nawahowie wciąż wierzą, że w naszym wszechświecie panuje idealna i delikatna równowaga, którą tylko człowiek potrafi zakłócić - złym słowem, złym czynem lub niewiedzą. W ten sposób może on ścignąć chorobę na siebie, swoich bliskich, lub nawet na całe plemię. Jeśli przewinienie jest bardzo poważne, to powstała dysharmonia może zagrozić całej przyrodzie, objawiając się w postaci rozmaitych katastrof i kataklizmów (np. wieloletniej suszy). Owa kosmiczna równowaga można odzyskać, lecząc winowajcę odpowiednimi zaklęciami, ziołami, pieśniami oraz specjalnymi malowidłami z wielobarwnego piasku (tzw. sandpaintings).

Współcześnie umiejętność tworzenia piaskowych obrazów jest jedną z bardziej znanych i popularnych dziedzin tradycyjnej sztuki Nawahów. Obok piaskowych malowideł używanych do leczenia, rysunki te służą także do ilustrowania historii i tradycyjnych opowieści - takich jak popularna opowieść "o kojocie kradącym ogień", stanowiąca część mitu o stworzeniu świata Nawahów. Wiele piaskowych obrazów plemienni artyści wykonują na potrzeby muzeów, galerii sztuki, szkół i odwiedzających ich ziemie turystów. Wciąż żywa pozostaje ta tradycja sporządzania piaskowych malowideł w celach magicznych i leczniczych. Gdy zajdzie

taka konieczność, szaman udaje się do hoganu (domu Nawahów) chorego i zaczyna kurację. Polega ona na śpiewaniu zaklęć przy wtórze grzechotek, wspomnianiu dawnych bohaterów Nawahów i sporządzeniu z piasku wielobarwnego magicznego rysunku o uzdrawiających właściwościach.

Piaskowy obraz wykonuje się zwykle na podłożu z czystego, białego piasku, rozsypanego na klepisku - Matce Ziemi - z podstawą od strony wschodzącego słońca - a zarazem od strony wejścia do hoganu - aby utrudnić wtargnięcie tam złym mocom. Jednym z elementów obrazu jest tęczą YEI, mająca chronić rysunek i jego twórcę. Każdy wzór i postać muszą być wykonane w uważny i przemyślany sposób, przy użyciu pięciu świętych kolorów.

Każdy szczegół musi być dopracowany, bowiem w przeciwnym wypadku nie tylko nie odbuduje się harmonii wszechświata, lecz dodatkowo pogorszy się sytuację. Rysunek mogą otaczać elementy ozdobne, ale w obrazach o znaczeniu ceremonialnym nie wolno ich stosować.

Pewne symbole zapewniają piaskowemu rysunkowi dodatkową moc lub siłę, np. rogi bizona są elementem mającym za zadanie wzmocnienie "dawcy leku". Po ukończeniu malowidła sadza się pacjenta w środku, a szaman dotyka poszczególnych miejsc na obrazie i aplikuje magiczne "lekarstwo", dotykając ciała chorego. W ten sposób zle siły, które były powodem choroby lub nieszczęścia, przechodzą na rysunek i następuje odbudowa harmonii całego wszechświata i zdrowia pacjenta. Następnie niszczy się obraz, przesypując go na koc, który przed zachodem słońca wynosi się na zewnątrz i wytrzępuje na wietrze, aby pozbyć się uwieczonych w rysunku złych mocy. Podobne obrazy wykonywane podczas ceremonii nocnych niszczy się przed wschodem słońca. Ponoć kiedyś istniało ponad tysiąc ceremonialnych wzorów i symboli, ale dziś używa się mniej niż połowę. Wiele z nich istnieje już tylko w pamięci szamanów i - o ile nie będą w jakiś sposób utrwalone - zostaną wkrótce zapomniane.

Historycy uważają, że Nawahowie nauczyli się sztuki tworzenia obrazów z piasku od Indian Pueblo, którzy osiedlili się w ich sąsiedztwie po Wielkim

Powstaniu Pueblo w 1680 r. Nawahowie jednakże przypisują tę wiedzę "świętym", którzy nauczyli ich różnych sposobów leczenia, w tym - wykonywania piaskowych malowideł. Ponieważ "świętych" nie można dostrzec okiem ludzkim, ich instrukcje przekazywano za pośrednictwem duchów - takich jak Ludzie Wiatru - które uczyły Nawahów ceremonialnych pieśni i zaklęć. Święte wzory ukazywały im się zupełnie niespodziewanie na owczych skórach wraz z poleceniem, aby wykonywać je kolorami Matki Ziemi i przekazywać tę umiejętność przyszłym pokoleniom.

Za kolory Matki Ziemi tradycyjni Nawahowie uważają pięć świętych kolorów otrzymywanych z ręcznie mielonych skał, piaskowca oraz minerałów. Biel uzyskuje się z gipsu, błękit z chryzolit, czerni z magnetytu lub skał bazaltowych, żółci z piaskowca, siarki lub tlenku uranu, czerwień natomiast z piaskowca albo gliny. Często miesza się barwniki, aby otrzymać różnorodne odcienie. Kamienie kruszy się na małe kawałki, które można następnie zmielić. Po odstawieniu zanieczyszczone otrzymuje się piękny, jednolity piasek, z którego tworzy się rysunki.

Święte wzory skrywane były przed obcymi aż do końca XVII w., kiedy to kobiety Nawahów zaczęły używać motywów z nietrwających piaskowych malowideł jako elementów zdobniczych w tkanych przez siebie kocach i dywanach. Od początku XX wieku wielu handlarzy i historyków przenosiło wzory z piaskowych rysunków na papier. Współczesne metody utrwalania piaskowych obrazów zapoczątkował nauczyciel David Villasenor, który ok. 1960 r. opracował proste sposoby "malowania piaskiem" z myślą o swoich uczniach. Dziś piaskowe obrazki Nawahów, utrwalone klejem na sztywnym podkładzie i przykryte szkłem, są jedną z typowych pamiątek na całym Południowym Zachodzie Stanów Zjednoczonych. Jednocześnie w odległych od autostrad i centrów turystycznych wioskach w rezerwacie Nawahów, na uprzętniętych starannie podłogach hoganów Indiancy szamani zaklinają w malowanych piaskiem barwnych symbolach zle duchy, przywracając zdrowie swym współplemięncom i dbając o harmonię w świecie.

Ilona GORYŃSKA

TAWACIN POLECA:

Michał J. Rozbicki

*NARODZINY NARODU
Historia Stanów Zjednoczonych
do 1861 roku*

Atrakcyjnie napisana książka o dziejach USA do wybuchu Wojny Secesyjnej, kładąca nacisk na to, co działo się jakby poza ogólnie znanymi wydarzeniami politycznymi... Autorzy piszący o stuleciach poprzedzających niepodległość USA - czytamy we Wstępie - kładą szczególną wagę na wydarzenia, procesy, postacie, które jakby „prowadziły” do Rewolucji Amerykańskiej i powstania republiki oraz ukształtowania specyficznych, narodowych cech nowego państwa. Dzieje się tak jednak często kosztem takiej tematyki jak uwarunkowania zewnętrzne, a więc dzieł kultury europejskiej, stosunki z innymi imperiami, podobieństwa ze współczesnymi koloniami brytyjskimi poza Ameryką, np. tymi, które powstały na wyspach Karaibskich, wreszcie stosunki z Indianami i wpływ niewolnictwa na społeczeństwo amerykańskie. Nie chodzi więc o uwarunkowania polityczne, stosunkowo najlepiej znane, ale te, które włączają się z wzajemnymi wpływami różnych kultur oraz z przemianami kultury europejskiej po transplantacji do Ameryki.”

Autor książki, Michał J. Rozbicki odstąpił od stereotypowego ujęcia kultury Indian „jedynie w kategoriach eurocentrycznych, a więc według tych ocen, które były wspólne z kulturą białych (a także tych, których „brakowało”, jak broni palnej, písma, koni itp.) oraz ich roli jedynie jako tymczasowej przesyłki, wrogiej strony w konfliktach niejako z definitywnie wygrywanych przez białych. Tymczasem wieki bliższej styczności białych i czerwonych kształtowały w zasadniczy sposób kulturę amerykańską.”

Książkę wydano bardzo starannie, w twardej oprawie, z licznymi mapami, wykresami i fotografiami. (Oferta zakupu na str. 50)

Michał J. Rozbicki: *Narodziny narodu. Historia Stanów Zjednoczonych do 1861 roku*. Oficyna Wydawnicza INTERIM. Warszawa 1991.

INDIAŃSKA KUCHNIA

Sporą część pożywienia Indian Równin stanowiły owoce dziko rosnące. Przeważnie zjadano je świeże, ale również suszono je w dużych ilościach i przechowywano do zimy. Owoce czeremchy (*Padus serotina*) zgniatały razem z pestkami i suszono albo smażyono, magazynując je na zimę. Większą ich część używano do pemikanu, mieszając je z bizonim tłuszczem i wysuszonym bizonim mięsem. W 1819 roku Long będąc w rezerwacie Arapahów miał okazję spróbować tego specyfiku.

Przez pewną kobietę zostaliśmy częstowani małymi płaskimi czarnymi ciasteczkami, które po spróbowaniu okazały się bardzo smaczne. Stwierdziliśmy, że robiono je z czeremchy pokruszonej razem z pestkami na małe kawałeczki, wymieszanej z mięsem i tłuszczem i wysuszonej na słońcu.

Ulubionymi owocami były jednak bizonie jagody (*Shepardia argentea* i *Shepardia canadensis*) oraz świdośliwka (*Amelanchier*), suszono je na słońcu i magazynowano. W zimie mieszano je z tłuszczem i zjadano razem z mięsem. W późniejszych czasach, w rezerwacie mieszano je ze słonią i używano do chleba, jak dżemu.

Owoce i jagody, które chcieli ususzyć na zimę zbierano już w czerwcu. Aby zachować cierpki smak bizonich jagód, którzy Arapaho uwielbiają, zbierano je tuż przed pierwszymi przymrozkami. Nie zbierano ich ręcznie, gdyż krzaki miały kolce. Pod krzakiem układano ubranie lub kawał skóry i uderzano w niego kijem tak długo, aż wszystkie jagody spadły. O obfitości jagodowych krzaków na preriі pisał już Catlin:



...owoców świdośliwki mamy tutaj bez liku. Bizonie krzaki, które są specyficzne dla tych północnych regionów, rosną tu na brzegach rzek, w wąwozach oraz na urwistych cyplach, tworząc czasem długie na milę, prawie nie do przebycia żywopłoty, o konarach tak ciężkich od owoców, że pełne wdzięku spoczywają na ziemi.

Ten ostatni krzak uważany jest za najpiękniejszy ornament, ozdabiający dziką prerię. Tworzą uderzający kontrast z pozostałymi roślinami dzięki ich niebieskim liściom, które można zauważyć już z odległości kilku mil. Owoce, które wytwarzane są tak niewiarygodnie obficie, gronami wiszą na każdym konarze i na każdej nawet gałązce, i są wielkości zwyczajnych porzeczek. Lubi się je za kolor i za smak, który jest niesamowicie kwaśny, wręcz niesmaczny. Jednak gdy zostaną dotknięte przez jesienny przymrozek stają się najśodsze, a ich smak jest wprost wyśmienity. W smaku przypominają winogrona i jestem skłonny powiedzieć, że produkowano by z nich wspaniałe wina.

Dzkie porzeczki rozgniatały na kamieniu, mieszano z mąką i formując dłońmi w cienkie ciasteczka, suszono na słońcu.

Dzkie korzenie stanowiły prawdopodobnie niewielką część diety Arapahów. Hodowane jarzyny w dawnych czasach mogły być ważnym pożywieniem. Jedną ze starych kobiet Arapaho opowiadała, że w dawnych czasach Arapaho uprawiali kukurydzę, a ziemię pod nią spulchniano motyką zrobioną z kości przywiązanej do mocnego noża. Wódcz Mały Kruk opowiadał Clarkowi: "Zanim przeszliśmy przez Missouri uprawiali kukurydzę. Arikarowie ukradli nam kukurydzę i sztukę jej uprawy. Zanim zaczęliśmy chodzić na polowania, żyliśmy z tego co udało nam się zebrać z ziemi." W czasie życia w rezerwacie Arapaho wykopywali dzkie korzenie nazywane przez nich "marchew" i inne zwane "pomidory". Gotowali je i jedli, czasami długo po tym jak zostały zebrane. Były jednak zbyt miękkie, aby je ususzyć i przechowywać na zimę.

Na posiłek nie było ustalonych godzin. Jedzenie przygotowywano przeważnie wtedy, gdy kilku starszych członków rodziny poinformowało o głodzie, a w cza-

sach trudnych, zazwyczaj wtedy, kiedy dostarczono świeży zapas mięsa. Zacytujmy Shermána Sage'a, indiańskiego informatora:

W dawnych czasach ludzie głównie jedli trzy razy dziennie. Starzy ludzie jadalі jednak częściej. Często byli zapraszani i częstowani jedzeniem, głównie mięsem; czasami zapraszano także kobiety. Niektórzy przynosili swoje własne talerze. Jeśli oferowano im więcej jedzenia niż mogli zjeść, szczególnie mięso, co się często zdarzało, kroili je na małe kawałeczki i na wierzbowych gałązkach zanosili do domu. Zupy zawierające różne rodzaje jagód zjadano oczywiście na miejscu. Nigdy nie słodzimy naszych zup i sosów, w zasadzie nawet nie mamy czym. Nie używaliśmy dzikiego miodu, ale wysyaliśmy słodkie substancje z dużych pszczoł, które udało nam się zabić. Używaliśmy też soli, którą zbieraliśmy ze skał solnych, gdy mijaliśmy je po drodze do Oklahomy. Magazyłowaliśmy sól w torbach ze skóry.

Według Mooneya Indianie Równin bardzo lubili słodki mleczny sok znajdujący się pod korą topoli.

Sister M. Inez Hilger

Fragment książki siostry M. Inez Hilger *Arapaho Child Life and its Cultural Background* wydanej w Waszyngtonie w roku 1952 przetłumaczyła Monika Michalska.

Bibliografia:

George Catlin. *Illustrations of the manners Customs of the North American Indians* vol. 2, Londyn 1841.

W. P. Clark. *The Indian Sign Language*. Filadelfia, 1885.

S. H. Long. *Expeditions from Pittsburgh to the Rocky Mountains*. 1819-1820.

W Thwaites (q.v.), 1904-7, vols. 16 i 17 Cleveland, 1905.

James Mooney. *The Ghost Dance Religion and the Sioux Outbreak of 1890*. 14th An. Rep. Bur. Amer. Ethnol. Pt.2. Waszyngton 1896.

KOSZULE

Najwspanialszą częścią ubioru, a raczej stroju, mężczyzny jest jego koszula, zwana czasem "koszulą wojenną". Dział w muzeach znajdują się prawie wyłącznie takie koszule. Rzadkością są zwykłe, koszule robocze, które były dość proste. Zazwyczaj przy codziennych pracach w obozie nie noszono koszul. Zakładano je przeważnie w zimie i czasem w pogodne dni dla ochrony przed słońcem. Koszule odświętne miały jeszcze bardziej ograniczone zastosowanie. Większość z nich dzięki naszytym na nich koralikom była bardzo ciężka i już po kilku godzinach noszenia stawała się uciążliwa.

Cały strój zabierano na wyprawę wojenne. Pakowano go w torby z surowej skóry, tzw. "parflesh". Jeśli po zobaczeniu wroga czas na to pozwalał zakładano go z należytą ceremonią. Całe stroje lub tylko wojenne koszule noszono przede wszystkim podczas bitwy. Powód jest dość oczywisty. Większość koszul posiadała moc ochronną, obwieszona była zawieszkami i wieloma różnego rodzaju rzeczami. Paski i różne inne dodatki na zewnętrznej stronie koszuli miały wiele wspólnego z samą postacią wojownika. Pomagały wrogowi go docenić i należycie szanować jako wroga. Jeśli tylko było to możliwe zawsze podczas bitwy noszono te koszule, bez względu na to ile ważyły.

Koszule starego typu przypominały meksykańskie ponczo z rękawami. Całą koszulę można było wykonać z dwóch dużych skór górskiej owcy, jelenia, antylopy lub łosia. Zszywane były tylko na ramionach, gdzie przymocowywany był rękaw. Boki pozostawały otwarte. Nawet później, gdy szczywano już boki, dolna ich część pozostawała otwarta. Ulatwiało to siadanie, ale przede wszystkim wpuszczało powietrze, co przy grubej i ciężkiej koszuli było dość znaczące. Wynika z tego, że funkcjonalność była podstawową rzeczą każdego stroju.

Dawniej ci, co szyli koszule, zostawali przy swych skórzanych koszulach ogon i nogi zwierzęcia. Późniejsze koszule nie miały tych dodatków i w porównaniu są mniej ciekawe. Tak jak w przypadku leggionów, wspaniałe koszule wybitnych wojowników były bogato ozdobione zwisającymi skórkami, długimi frędzlami

i pękami ludzkich lub końskich włosów. Frędzle przy koszulach z północnych Równin biegły przez całą długość rękawa, podczas gdy na koszulach z południowych Równin zwisały małym pękami lub przyszyte były wokół rękawa, często skręcane je w spiralę. Wszystkie służyły jako podręczny zestaw do naprawy, podczas różnego rodzaju podróży.

Po za frędzlami, koszula wojownika północnych Równin ozdobiona była zazwyczaj rozetami wyszytymi kołcami jeżozwierza lub koralikami. Niektóre z rozet były bardzo duże. Swe koszule ozdabiali też czterema długimi pasami wyszytymi kołcami lub koralikami. Pasy szerokie mniej więcej na siedem centymetrów, umieszczano na każdym rękawie i na ramionach. Pasy naramienne przyszywano pod kątem w zależności od pochylenia ramienia. Każdy strój z Równin był równie pełen wdzięku i kompletnie ozdobiony z tyłu, jak i z przodu. Wojownicy prezentowali spektakularny widok z każdego kąta, pokazując w ten sposób swój talent do wzorów, który wymaga uwagi każdego znawcy mody.

Powszechnie się uznaje, że długie wyszywane kołcami lub koralikami pasy były dowodem określonych honorów wojennych, ale w opowieściach Indian, za wyjątkiem kilku twierdzeń Indian Crow, prawie w ogóle nie ma dowodów na potwierdzenie tej tezy. Bardziej przekonujące wydaje się stwierdzenie, że pasy te były jakby przyznawane wybitnym wojownikom jako dowód generalnego docenienia ich roli w obronie plemienia. Jeśli pasy oznaczałyby określone honory wojenne, to wzory na nich opowiadałyby jakąś historię. Symbole używane do wyszywania pasów nie opowiadają faktycznie żadnej historii i w rzeczywistości są trochę jednakowe w zamysle u wszystkich plemion. To, co można dziś najwięcej z nich wyczytać, to wiek ich pochodzenia dzięki typom użytych do ich wyszywania koralikom, jak również to, że pewne wzory i kolory są unikalne dla pewnych plemion. Wyszywane lub malowane karczki z przodu i z tyłu koszuli, dzięki użytym na nich wzorom, więc mówią o właścicielu i plemieniu, do którego należał niż pasy.

Koszule bardzo często malowano liniami i obrazkami. Przeważnie wizja lub jakieś godne uwagi starcie skłaniało wybitnego wojownika do pomalowania swej koszuli. Zygzakowate linie oznaczały

blyskawice, a proste - liczbę jego wypraw wojennych. Dla czytelnego zapisu wojennych opowieści używano piktografów. Aby poinformować o przynależności do jakiegoś stowarzyszenia malowano na jeden kolor jakąś część koszuli. Np. Stowarzyszenie Wojowników u Siuksów malowało swe koszule na cztery różne sposoby: górna połowa jasnoniebieska, a dolna żółta, górna czerwona, a dolna zielona, całość żółta i całość żółta z pionowymi zielonymi pasami. Arapaho, Szejenowie i Kiowa często malowali na swych koszulach gwiazdne symbole.

Ogółem biorąc, koszule z Równin były tworami wspaniałymi. Bardzo długie, opadające czasami aż do kolan, wspaniałe wymodelowane. George'a Catlina, podróżnika i malarza, aż korciło, by zdobyć choć jedną z tych, które widział w czasie swych podróży, a ładna koszula jest dla każdego kolekcjonera skarbem.

Najpiękniejsze z pewnością były koszule Mandanów, Crow i Czarnych Stóp, potem koszule Siuksów, a im dalej na południe tym bardziej styl stawał się stopniowo prostszy, z wyjątkiem leggionów Kiowa i kilku strojów Komanczów. Koszule Południowych Szejenów często nie posiadały wyszywanych pasów, ale miały za to piękne ciemnozielone frędzle. Koszule południowych plemion częściej fascynowały swoją kolorystyką niż ozdobami. Wiele z nich miało przymocowane potężne leki i inne dodatki w postaci skręconych rzemieni, dużych koralików, woreczków z amuletami, orlich piór pomalowanych na czerwono czy wojennych gwizdków z orlich kości.

Bardzo łatwo zrozumieć dlaczego stroje Indian z północnych Równin były bardziej dopracowane niż Indian z dalekiego południa, takich jak Komancze, Kiowa i Kiowa-Apacze. Na południu zimy są łagodniejsze i ludzie, którzy tam żyli, nie mieli zimowej przerwy, która dawała mieszkańcom północy chwilę wytchnienia od wojny i czas na realizowanie swych umiejętności. Mieszkańcy południa przemierzali się przez cały rok, a napięcie spowodowane stałą niepewnością co do ich przyszłości utrzymywało ich w zgrzytliwym nastroju. Wskazuje na to ich brutalność wobec jeńców. Z reguły, rytuały dalekiego południa były mniej egzotyczne, ich stroje prostsze, ich dobytek skromniejszy, a bardzo jałowa, wy-

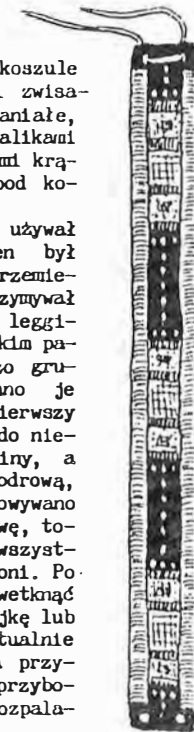
magająca ziemia nie dawała większej zachęty do czystości. Być może więc to, co ludzie południa zdobili zdobyć w tych trudnych warunkach jest jeszcze bardziej chwalebne.

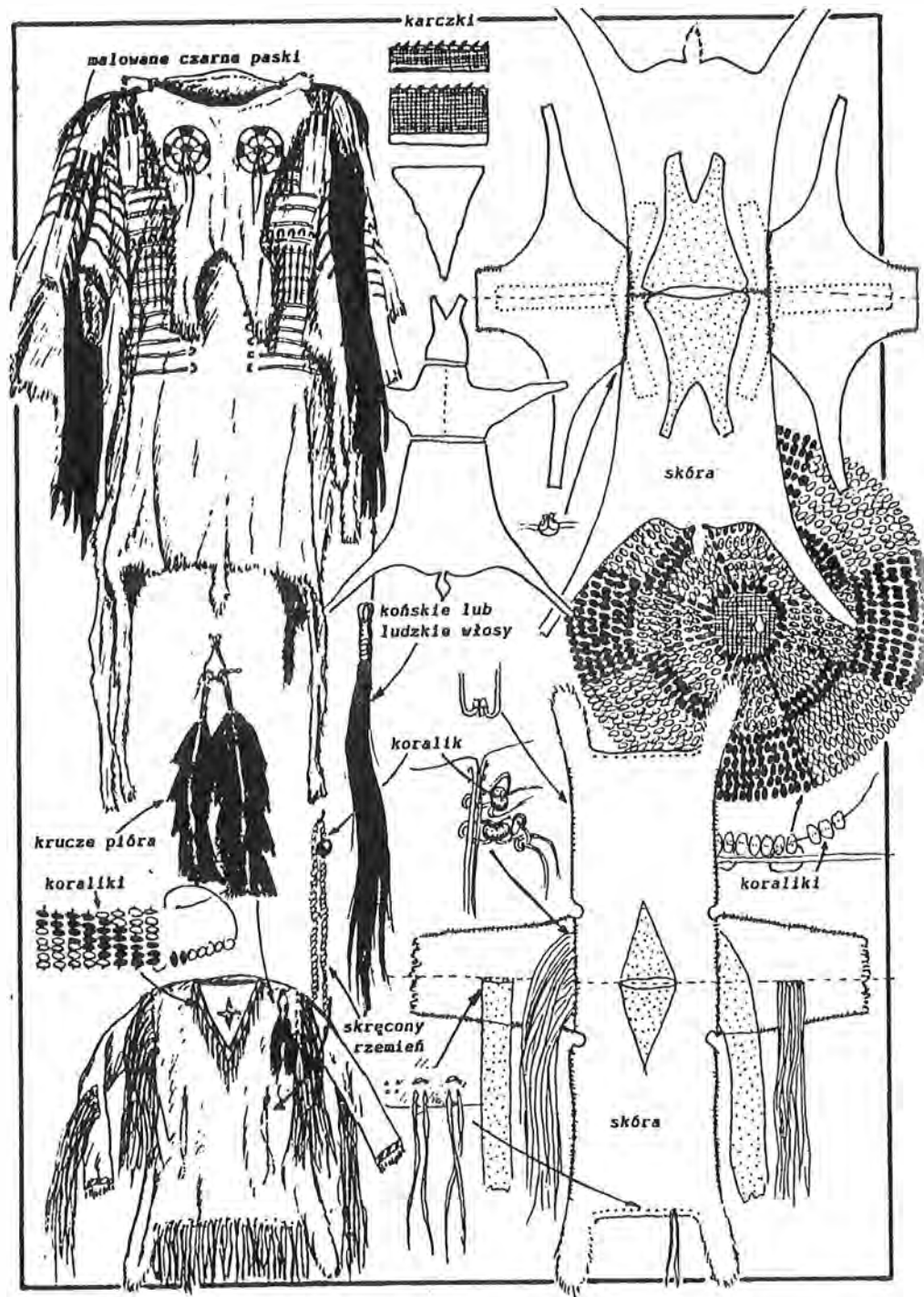
Zazwyczaj męskie koszule nie były przepasane i zwisały swobodnie. Wspaniałe, pięknie wyszywane koralikami lub ozdobione srebrnymi krążkami pasy, noszono pod koszulą.

Właściwie Indianin używał dwóch pasów. Jeden był miękkim, ale mocnym rzemieniem, który podtrzymywał przepaskę biodrową i legginy, a drugi był szerokim pasem, robionym z bardzo grubej skóry. Zakładano je przeważnie na ten pierwszy rzemień i można było do niego przymocować legginy, a nawet przepaskę biodrową, ale zazwyczaj przymocowywano całą broń: nóż i pochwę, tomahawk, broń palną i wszystko co używano jako broni. Poza tym można było wetknąć pod niego torbę na fajkę lub przywiązać różne aktualnie potrzebne woreczki na przykład z farbam czy z przyborami do szycia lub rozpalać ognia.

Metalowe klamry do pasów stały się dostępne dopiero w czasach handlu z białymi, ale najcenniejsze pasy nie posiadały takich klamr. Związywano je rzemieniami przywiązanymi do obydwu końców. Nie wiadomo czy Indianie woleli wiązać je z przodu czy z tyłu, ale najprawdopodobniej wiązano je z przodu, a potem przesuwano wiązania do tyłu, tak aby jak najlepiej wyeksponować wyszyte wzory. Na najstarszych fotografiach takich pasów nie można znaleźć, ale wiele z nich znajduje się na obrazach Charlesa M. Russella i Frederica Remingtona, co może wskazywać na fakt, że są one późnym dodatkiem do stroju Indian Równin.

Na podstawie książki Thomasa E. Mailsa *Mythic warriors of the Plains* opracowali Dariusz Pohl i Niedźwiadek.





AMERYKA INDIAŃSKA WE WROCŁAWIU

Spośród ubiegłorocznych wystaw na 500-lecie odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba, najwyżej oceniona została wystawa zorganizowana przez Muzeum Instrumentów Muzycznych oddział Muzeum Narodowego w Poznaniu, pod hasłem "Ameryka Indiańska - Spotkanie Dwoch Światów", której pomysłodawcą i komisarzem był Janusz Jaskulski (zob. TAWACIN nr 2 i 3 z 1992). Wystawa otrzymała nagrodę I stopnia (Indywidualną) Ministra Kultury i Sztuki za najlepszą wystawę 1992 roku.

Tuż po zamknięciu wystawy w Poznaniu, zbory spakowano i wysłano "w Polskę", gdyż zainteresowały się nimi inne muzea. Po Wągrowcu i Gdańsku całą ekspozycję przeniesiono ostatnio do Wrocławia. Otwarcie nastąpiło 7 września br. w Muzeum Archeologicznym przy ul. Kazimierza Wielkiego 35. Twórcy wystawy: Jolanta Łukasik, Emilia Kosińska i Krzysztof Demidziuk, zapraszają do zwiedzania ekspozycji od środy do niedzieli włącznie, w godz. 10.00-18.00. W czwartki od 9.00-18.00. Ceny biletów: normalny 20.000, ulgowy 10.000. W niedzielę wstęp bezpłatny. Wystawa czynna będzie do końca roku.

MM

LIST Z WIĘZIENIA

12 września 1993

Szanowny Wydawco,

potrzebuję porady w sprawie, jaka mi się przytrafiła w więzieniu federalnym.

Jestem Tubylczym Amerykaninem (Nawaho) uwięzionym w Terre Haute w stanie Indiana. Naczelnikiem więzienia jest pan Koehane. 7 czerwca br. przeprowadzono rewizję w poszukiwaniu towarów pochodzących z przemytu. Na ten czas wszystkich więźniów wyprowadzono na dziedzińiec.

Po powrocie do cell spostrzegłem, że zabrano mi orle pióra (47 sztuk), które są dla mnie święte i służą do odprawiania obrzędów. Przechowywałem je w pudełku razem z opinią kapelana więziennego, zezwalającego na ich posiadanie.

Wiele razy usiłowałem je odzyskać, ale strażnicy w ogóle nie chcieli ze mną rozmawiać na ten temat. Napisałem także do strażnika Koehane'a, który zgodnie z przepisami powinien dać mi pismem odpowiedź w ciągu 72 godzin. Minęło już sporo czasu, a nic nie otrzymałem.

Mam wrażenie, że jestem prześladowany i dyskryminowany, a system więzienny pozbawia mnie prawa do wolności religijnej. Nie wiem, co robić. Oczekuję jakiejś porady od pana lub czytelników.

Z poważaniem
Amos Boone

OD REDAKCJI: Powyższy list otrzymał Tomasz Juszkiewicz z Poznania (na kopercie adresatem jest Polski Ruch Przyjaciół Indian pod domowym adresem Tomka) i choć nie wiemy nic o jego autorze, Amosie Boone, ktm jest i za co siedzi, sprawa zasługuje na wzmiankę z paru powokłów:

1. Zaskakująca jest prośba Amosa, który u nas ludzi z PRPI, szuka porady prawnej. Nigdy dotąd nie występowaaliśmy w roli doradców w dziedzinie sędziowskiej (z prostej przyczyny - brak znajomości amerykańskiego systemu prawnego), co najwyżej przesyłałmy petycje i listy poparcia.

2. Szukanie pomocy aż w Polsce świadczy o nie najlepszym obiegach informacji wśród Indian. Trudno uwierzyć, że Amos nigdy nie słyszał o tubylczych obrońcach, czy doradcach, chociażby o Komitecie Obrony Pellera - dokąd zresztą skierowaliśmy jego prośbę.

3. Konflikt orlich piór więźniowi Indianie to zaledwie jedna z licznych form dyskryminacji i nieprzebranie praw człowieka. Konstytucja amerykańska gwarantuje każdemu obywatelowi wolność religijną, także więźniom. Więźniowie o orientacji chrześcijańskiej mogą mieć w swej cell Pismo Św. i ksiązkę religijną, brać udział w nabożeństwach i przyjmować sakramenty, natomiast Indianom często odmawia się prawa do posiadania orlich piór (notabene, w USA nie wolno posiadać piórorka, chyba że... jest się Indianinem). Fajki czy uczestniczenia w świętych ceremoniach, jak na przykład szakas potu.

Listy z poparciem dla Amosa i jego prawa do wolności religijnej, zagwarantowanej przez Konstytucję, prosimy kierować pod adres:

MR. AMOS BOONE, 16892008

P.O. BOX 33

TERRE HAUTE, INDIANA 47808, USA

TJ/mm

Czarne Stopy i czarna muzyka

Kiedyś, gdy napisałem krytyczny tekst na temat Siuksów, obiecałem, że gdy będę mógł, to napiszę coś krytycznego o Blackfeet (Czarnych Stopach). Minął właśnie rok, odkąd mieszkam z nimi w rezerwacie w Montanie i moje szeroko otwarte oczy ujrzaly coś, co pragnę opisać.

Zatem – rezerwat. Współczesny. Dziśniejszy. Oprócz tradycyjnej starszyny jest tutaj masa młodzieży. To ona zaczęła mnie bulwersować i PRZESTRASZAĆ.

W Browning jest sześć szkół, od Head Start, przez High School i Junior High, aż po koledż. Większość mieszkańców rezerwatu to Indianie. W każdej szkole, oprócz podstawowych przedmiotów (np. matematyki) są też i takie jak: futbol amerykański, koszykówka, czy baseball. Są to narodowe sporty całej Ameryki. Młodzi Indianie są w nich naprawdę dobrzy. To doskonała okazja dla każdego młodego chłopaka, by zaimponować swej pierwszej – czy nowej – dziewczynie. Tworzy się więc konkurencja. Zespoły wyjeżdżają z Browning do Out Bank, Great Falls, jeżdżą po całej Ameryce.

Każdy zespół ma oczywiście swoją nazwę: Browning Indians, L.A. Riders, Chicago Bulls, Washington Redskins, itd. Obok Indian, w tych sportach doskonalili są też Murzyni, których w Ameryce jest jak śniegu w mroźnej Montanie. Indianie, którzy wyjeżdżają z rezerwatu na zawody, przywożą z powrotem elementy zaczerpnięte od Murzynów. Powstaje swoista mieszanka kulturowa, także rasowa. Jakież było moje zdziwienie, gdy z wielkich miast przyjechałem do rezerwatu, gdzie indiańska młodzież paraduje w kurtkach z napisami "Warriors", "Redskins", itp. Powstają klany, które wzajemnie się nienawidzą. Podczas rozgrywek dochodzi często do aktów wandalizmu, są ranni, bywają też zabici. Wszystko to potęguje muzyka rap – pochodząca od czarnych, oparta na przekleństwach i agresji.

W rezerwacie, podobnie jak w wielkich miastach, rap słychać wszędzie.

Ta "muzyka", wg mnie, skłania bardziej do walki, niż do relaksu. W domu, w którym mieszkam wciąż słyszę rap. Próbuje więc (już z pewnym skutkiem) zaszczepić moją ulubioną muzykę elektroniczno-medycyną. Przecież słuchając muzyki, przyjmujemy pewne jej elementy w życie codziennym. Dlaczego więc Indianie czy Murzyni nie słuchają muzyki New Age? Sam sobie zadaję to pytanie...

Słuchając rapu, słuchamy ulicznych przekleństw. Słuchają tego także dzieci. Wystarczy włączyć MTV, która karmi młodzież czarną, rapową "muzyką". Wystarczy poczytać artykuły prasowe o wandalizmie w centrach Los Angeles, czy Nowego Jorku po "rapowych" filmach "Juice" i "New Jack City". To smutne, że na pow-wow jest tak wielu "czarnych" Indian, którzy nie mają szacunku dla starszyny i tradycji. Na prawie wszystkich ceremoniach ja jestem najmłodszy – młodzież w tym czasie pije piwo i słucha rapu na werandzie, a jej "muzyka" łączy się po prerii, strasząc zwierzyne, duchy równin i wieczny śnieg w Górach Skalistych. A gdzie "indianizm" narodu Blackfeet?

Także Tiopa, Buff i reszta rodziny Dennisa Banksa wciąż słuchała rapu na Świętym Biegu. Na szczęście Dennis podzielał moje zdanie, choć sam większość czasu spędza, wpatrując się w ekran telewizora. To samo robi 90 proc. młodzieży z rezerwatów. Ich świat – to świat filmów wideo i gier telewizyjnych.

Na szczęście pozostałe 10 proc. ma jeszcze mózgi, i to wśród nich mam tutaj przyjaciół. Na szczęście w koledżu jest ciągle nauka języka Blackfeet – tej podstawy, fundamentu kultury. Młodzież indiańska wychowana na "czarno" jest jak lodowa wydma zagubionych serc, której potrzeba światła i ciepła, by mogła stopnieć. Na tej górze widzę młodzieńca – Tony'ego Riosa (zob. "Biuletyn Informacyjny PSPi" lipiec 1993, "Dziecko w więzieniu"), który nie ma butów i jest poniżany w więzieniach. Lecz czy jego "lekami" są tradycyjne indiańskie leki z prerii, z której pochodzi? Nie – to "święte leki młodzieży" – koszykówka, rap i nóż. Kto może pomóc Tony'emu, skoro on sam nie zadał sobie trudu, by się czymś zająć? Czy ja i Zródełko, mój przyjaciel z Polski, jesteśmy tradycjonalistami, gdy mówimy w kanu? Może to właśnie kanu jest prawdziwie indiańską rozrywką, a nie koszykówka i agresja?

W połowie lipca spędziliśmy, Zródełko i ja, trzy dni w, graniczącym z "moim" rezerwatem, Parku Lodowcowym (Glacier National Park). Obozowaliśmy w namiocie. Kemping Two Medicine położony jest około 20 mil od Browning. Tu nie słychać rapu – jest spokój, cisza. Ludzie pozdrawiają się wzajemnie... W trzy dni znali nas tu wszyscy, łącznie z rangerem, strażnikiem parku, któremu zasmakowała nasza polska kolacja. Zródełko stwierdził, że jest tu taki spokój, bo nie ma... czarnych.

Tak, dzięki Ci, Boże, że są jeszcze takie miejsca, jakby upodobane sobie przez Ciebie, jak choćby Two Medicine. Dzięki Ci, Stwórco za miejsca, których nie dotknął jeszcze człowiek. Uchronił je od "świętych leków młodzieży".

– Cichy Mokasyn Jack

P.S. Powyższy opis mógłby dotyczyć nie tylko Blackfeet, ale chyba wszystkich Indian Ameryki Północnej.



Cenne ziemie Montany

Badger – Two Medicine to naturalny obszar na pograniczu rezerwatu Blackfeet i Parku Narodowego Glacier w Montanie. To ostoja dzikiej, górskiej roślinności i zwierzyne (w tym wilków i niedźwiedzi grizzly), a zarazem miejsce duchowych pielgrzymek i religijnych ceremonii ludu Czarnych Stóp – ich święta ziemia.

Obszar Badger – Two Medicine od lat stanowi obiekt zainteresowania europejskich i amerykańskich koncernów naftowych FINA i Chevron, dążących do rozpoczęcia tam wydobycia ropy naftowej i gazu ziemnego na szeroką skalę.

Planom przemysłowej eksploatacji i związanemu z tym nieuchronnie zniszczeniu unikalnych w skali całego kontynentu naturalnych ziem Badger – Two Medicine sprzeciwiają się zarówno grupy obrońców środowiska, jak i Indianie Blackfeet.

W 1992 roku europejskie Stowarzyszenie na Rzecz Ludów Zagrożonych (Gesellschaft für bedrohte Volker) zainicjowało międzynarodową kampanię w celu wstrzymania prowadzonych tam próbnych wierceń (wzór petycji w tej sprawie opublikował m.in. "Biuletyn Informacyjny PSPi" z kwietnia 1992 r.). W jej wyniku Kongres USA zakazał dalszych wierceń do czasu ukończenia pełnych analiz projektu i środowiska.

W styczniu 1993 roku Biuro Zarządu Ziemią (BLM) zezwoliło koncernowi FINA na kontynuację prac wiertniczych. Była to jedna z ostatnich decyzji podjętych przez ustępującą administrację Reagana. W maju nowy sekretarz spraw wewnętrznych ponownie zawiesił na rok kontrowersyjne wiercenia w rejonie Badger–Two Medicine. Decyzję tą uzasadniono toczącymi się badaniami terenowymi i pracami ustawodawczymi dotyczącymi planowanego w Montanie obszaru chronionego krajobrazu. Mówiono też o konieczności analizy traktatowych praw Indian do tego terenu.

"Administracyjny nakaz wstrzymania wierceń jest wielkim zwycięstwem w trwającej od dziesięciu lat walce o chronę Badger – Two Medicine" – stwierdził Bob Yetter z Rady Konsultacyjnej Frontu Gór Skalistych (RMFAC). Dodał on, że był to wynik "dużego nacisku" ze strony wielu grup ekologicznych i pro-indiańskich na rząd USA oraz kongresmanów z Montany.

Kręgi górniczo-naftowe twierdzą, że wydobycie ropy w Montanie mogłoby przynieść mieszkańcom stanu miliard dolarów zysku. Ich przeciwnicy uważają, że jest to tylko spekulacja i że korzyści z ochrony tak unikalnego obszaru naturalnego krajobrazu są znacznie większe, chociaż niewymierne. Dlatego mają nadzieję, że administracja prezydenta Clintona będzie konsekwentna i za rok nie zmieni swego obecnego stanowiska.

Aż do 1894 roku teren Badger – Two Medicine stanowił część rezerwatu narodu Blackfeet. Choć zmuszeni do jego sprzedaży, Indianie zachowali traktatowe prawa do wykorzystywania go do polowań, połowu ryb, wyrębu drewna i kontynuowania tradycyjnych praktyk religijnych. Oczywiście rzeczą jest, że w sąsiedztwie rurociągów i wież wiertniczych stałoby się to niemożliwe. Dlatego starają się, by w sto lat po pierwszej, przymusowej transakcji ich prawa nie zostały znów ograniczone.

oprac. Marek NowoCIEŃ

SPÓR O CZARNĄ SUKNIĘ

Nie zgadzam się z tezą, jakoby film CZARNA SUKNIA ukazywał świat białych i Indian w równych proporcjach. Jest to historia wyprawy jednego jezuity i z tej perspektywy zrealizowano film. W kilku retrospekcjach widzieliśmy jak przebiegało życie ojca Laforgue do chwili jego przybycia do Kanady. Możemy zrozumieć motywy jego wyboru i postępowania. Tego samego nie rozumiemy w przypadku Chomliny. Choć włącz świat indyjski został odtworzony tu wiernie, dla większości widzów cała jego złożoność jest niejasna. Jednakże lepszemu filmowi od obrazu Bruce'a Beresforda chyba tak trudno nie zobaczmy i wszelkie pochwały są tu całkowicie uzasadnione.

Problem, o którym piszę, rozbiła się przede wszystkim o wteńców widzów. Gdyby nawet reżyser postarał się uwypuklić rozterki i myśli na przykład Annuki w stopniu równym, w jakim uczynił to w wypadku Jezuita, to nie gwarantowałoby to lepszego zrozumienia kultury Algonkinów.

CZARNA SUKNIA jest filmem bez porównania dużo lepszym od MISJI, która to w żadnym mierze nie jest filmem o tematyce indyjskiej, lecz filmem o tematyce jezuitckiej z Indianami w tle. I tu chciałbym poruszyć problem ewangelizacji Indian, której to autor recenzji (patrz poprzedni TAWACIN) Marek Maciolek jest wyraźnym zwolennikiem. Otóż jakie były rezultaty "działa misyjnego" jezuitów?

W MISJI gdy pojawiła się groźba likwidacji jezuitckiej komuny jeden z Indian stwierdza, że nie chce wracać do dżungli, bo tam żyje demon - do dżungli, która do niedawna była jego domem. To proste zdanie uświadomiło nam, jaktemu praniu mózgu jezuita poddawali Indian i nie tylko ich. W innej scenie widzieliśmy indyjskiego chłopczyka śpiewającego psalmy przed gremium białych,

które zastanawia się czy jest on zwierzęciem, czy też nie. Otóż wolnym człowiekiem był na pewno do chwili, gdy jezuita uczynił z niego bezwolną małpkę, która śpiewa psalmy, ale wątpliwe, czy zna plemienne miły i zwyczaje. Nawet jeśli by coś jeszcze z nich pamiętał, to już wie, że jest to złe, bo pochodził od demona.

W nawróconych Huronach zaś jezuita zabił wojowników, ucząc ich chrześcijańskiej pokory i miłości. Tyle im z tej umiejętności przyszło, że nie bronili się przed Irokezami, gdy ci napadli misję, i zostali wyrznięci.

Misjonarze czynili z Indian marionetki, całkowicie bezużyteczne, gdy zabrakło podlegającego za sznurki. To jakby wychowywać wilka w mleście, a po kilku latach wywieźć go do lasu wiedząc, że on nigdy nie zdobył sam pożywienia.

Marek Maciolek w swej recenzji zamieszcza cytaty wypowiedzi Jezuita Charlesa E. O'Neilla, która z Indianami w ogóle nie ma nic wspólnego, a w TAWACINIE jego słowa brzmią wręcz cynicznie. „Chrześcijaństwo podtrzymuje w każdej kulturze to, co może być włączone, wcielone” - czytamy. Obawiam się, że dla amerykańskich chrześcijan nic z kultury indyjskiej nie mogło być włączone. „Dobry Indianin to martwy Indianin” - nie wymyślił tego przecież ateiści. I dalej: „Dzielenie się wiarą to obowiązek każdego chrześcijanina”. Cóż, masakrą nad Sand Creek dowodził chrześcijański duchowny.

A oto inny cytat: „Jezuita łączy na większą chwałę Bożą (...) Cel uświęca środki. Nigdy nie należy ufać ich słowom” - mówił Daniel w powieści CZARNA SUKNIA (s. 96). Pamiętajmy, że zakon jezuitów nie został rozwiązany w 1773 roku za wzorowe prowadzenie misji w obu Amerykach...

Chrześcijańską szkołę z internatem (ewangelizacja późniejsza) oglądaliśmy niedawno w polskiej TV, w kanadyjskim filmie *Where the Spirit Lives* (po polsku bodajże *Duch preri*). Przypominał mi o tym, by zobrazić trochę inaczej to, o czym pisze Marek: „jak bardzo skomplikowane jest dzieło misyjne, ile wymaga pokory, cierpliwości i poświęcenia”, zwłaszcza w historii podboju amerykańskiego Zachodu.

O ile mi wiadomo, żadne plemię indyjskie nie wysyłało swych szamanów by sprawdzali innych ludzi z błędnej drogi. Szacunek do drugiego wyraża się tym, że swych poglądów nie przedstawia się jako lepszych. My, przyjaciele Indian powinniśmy czerpać swą wiedzę nie z interpretacji historii dokonanej przez „chrześcijańskich” zdobywców, lecz raczej „pogańskich” zwyciężonych. Metody działania chrześcijan, z jakimi przyszło się zetknąć Indianom, były akurat odwrotnością założeń tej religii.

Nie mogę też zgodzić się z M. Maciołkiem, który w innym miejscu przekład CZARNEJ SUKNI A. Pawełca porównuje do tłumaczenia TĄNCZĄCEGO Z WILKAMI twierdząc, że jest zepsuty w głupi sposób przez tłumacza. Otóż, tłumaczenie A. Pawełca jest o wiele lepsze, a Marek może zarzucić mu jedynie słowianie pospółtych wulgaryzmów. Indianie tak nie kleili, o ile w ogóle to robili. Czy jednak na przykład „Ty bezzębny bobrze”



MOHAWKOWIE WRACAJĄ DO OJCZYZNY

W lipcu br. grupa tradycyjnych Mohawków z Akwesasne, której przewodził Tom Porter (zob. „Irokeski” TAWACIN, nr 2/1992), zakupiła około 120 ha ziemi na północny zachód od miasta Albany w stanie Nowy Jork, nad brzegiem rzeki Mohawk. Dwieście lat temu obszar ten należał do ich przodków.

- To tak jak z dzieckiem, które się zgubiło - powiedział Tom Porter. - Miłość matki i ojca przytępiła je do domu.

Wcześniej miejsce to zajmowali ludzie bezdomni i starzy. Rok temu schronisko opustoszało i cały teren wystawiono na licytację. Na lipcowej aukcji grupa Mohawków zaofiarowała najwyższą stawkę, łącznie 233 tysiące dolarów. Pieniądże pochodziły częściowo z drobnej działalności gastronomicznej, prowadzonej przez Mohawków, ale większość stanowiła dar aniołowego doświadczenia.

Kilkanaście rodzin Mohawków pragnie wrócić do prostego stylu życia, podobnie jak

odniosłoby taki efekt, czy rozkładaloby napięte? Nie bronię wulgaryzmów, bronię jedynie przekładu, który Marek skrytykował w końcowym wniosku - wydaje się - zbyt pochopnie.

Arkadiusz J. Kilanowski

Ewangelizacja Indian to fakt kulturowy i historyczny, stąd wszelkie rozważania typu "za i przeciw" są pozbawione sensu, bo owego faktu już nie zmienią, a tylko utrudnią jego zrozumienie i obiektywny opis. Nie interesuje mnie (w recenzji CZARNEJ SUKNI) słuszność głoszenia Indianom Ewangelii, ale proces wzajemnego poznawania się, proces umacniania się stereotypów myślenia o drugim człowieku lub ich uwytyfikacji pod wpływem konkretnych doświadczeń. Przemiana ojca Laforgue jest idealnym przykładem.

Marek Maciolek

lud Amisów, zgodnie z tradycją przodków, gdzie będą mogli mówić własnym językiem.

- Trzeba być w harmonii z naturą - powiedział Porter. - To będzie tradycyjna wspólnota. Musimy zrobić coś zdrowego dla społeczeństwa.

Tom Porter już od kilku lat prowadził życie w tradycyjnym domu, bez elektryczności, telefonu i bieżącej wody. Na nowe miejsce planuje przeprowadzić się z żoną, szóstką dzieci i czterema końmi po 17 września, gdy dopełnione zostaną ostatnie formalności.

ŚWIĘTY BIEG 1993

Trasa tegorocznego Świętego Biegu wędzie z punktu zbornego w Newport w stanie Kentucky do Australii i Nowej Zelandii. Rozpoczął się 14 września i będzie trwał do 14 listopada. Jak zwykle biorą w nim udział biegacze różnych kultur, wyznań i narodowości. Wśród uczestników brak w tym roku Polaków. MM

z kraju Oglalów

Piszę do Was z kraju LAKOTA. Być może będziecie trochę zawiedzeni moimi spostrzeżeniami, ale taka jest rzeczywistość tego narodu na dzień dzisiejszy. Po pierwsze są strasznie dumni ze swojego pochodzenia i wszystko co nie lakockie jest zła, względnie gorsze. Idea czterech kolorów to tylko teoria, a to o czym czytaliśmy w książkach, to już tylko historia. Zdecydowana większość, bo 70% to chrześcijanie; tradycjonalistów tu dosłownie niewiele, a i ci nie są dostępni, póki nie usłyszą szelestu zielonych papierków (dolarów).

Bawimy się nieźle, zwiedzamy dużo muzeów. Widoki są obłędne.

Jako naród LAKOCI po prostu są rozbiści, bo jeżeli wziąć pod uwagę ile piją i jak śmieć na swojej ziemi, można wątpić we wszelkie ideały.

POW WOW było po prostu obłędne, ale o tym pogadamy jak wrócę do kraju (...). Tu przekonałem się jak ważne jest szanowanie własnej rasy i drogi, którą obraliśmy. Żaden LAKOTA nie jest w stanie tego zrozumieć, bo nacjonalizm i egoizm to ich cechy przewodnie.

BLACK HILLS są po prostu piękne, teny wymarzone, trudno sobie wyobrazić piękniejszy kraj. Rezerwat Pine Ridge jest totalnie zaniedbany, a Indianie leją z góry na to aby coś z tym zrobić. Mił o biednych, uciśnionych Indianach to fikcja; oni kochają Amerykę, flagę amerykańską, ba! nawet Rząd. Gdyby przeciętny Indianin włożył choćby odrobinę energii w otoczenie i swój dom, to mógłby żyć jak król. Kiedy nocami myślę, ile zostało z tych dumnych OGLALA to boli mnie głowa.

Sklepy indiańskie pękają w szwach od wszystkiego co tylko zamarzysz. Możesz kupić dostownie wszystko, od igły do całego bizona włącznie, ale kiedy prosisz o poradę w sprawach duchowych, usłyszysz tylko, że nie jesteś LAKOTA, nie rozumiesz tego i radź sobie sam. Są strasznie nietolerancyjni, często mają pretensję o takie pierdoły, że można wątpić. Z jednej strony mówią o dumie, sile etc. z drugiej, kiedy są jakieś święta typu śluby, walą w pier do kościoła. Na nasze konkretne pytania zostajemy konkretnie zbywani.

W domach jest taki syf, że czasem strach, aby coś nie podłapać. Na przykład obszczone ściany i wszy. Dom, w którym mieszkamy to perła w tym rezerwacie, a i tu różne cuda chodzą gęsiego.

Wysyłam Wam trochę szalwii z Oglala, abyście nie łamali się tym co tu piszę, jedyna droga to nasza własna. (...)

Czy dajesz wiarę, że poza Pow Wow raz w roku i Tańcem Słońca nie ma tu żadnych świąt ani obrzędów. Tylko pepsi, czipsy i video. Bastiony runęły, cieszysz się już zupełnie coś innego, POLISH WAY.

Bądźcie zdrowi, niech dobre duchy Was nie opuszczają.

Janek Rzatkowski

15.08.1993

Oglala, Pine Ridge, USA

Potwierdzam wszystko. Napiszę później o strzelbach, nożach i pijackich krzykach w nocy.

Anka Pelchert

Ja też potwierdzam.

Anka Podgórska

P.S.

Żeby ten list nie był taki smutny, to dopiszę, że nikt nas nie zaczepia i źle nie traktuje. Przeciwnie - spotykamy się tu z objawami przyjaźni i życzliwości na każdym kroku.

To nieprawda, że Indianie są dyskryminowani, przeciwnie - ludzie kochają indiańskość, ale to wszystko sfera materialna.

Janek

Czas spędzony tutaj jest jednym wielkim doświadczeniem, mogę powiedzieć, że równie dobrze kocham Lakotów, co ich nie nawidzę.

Byliśmy ze Żródełkiem w Wounded Knee, wrażenia niesamowite. Niesamowite są też wrażenia z Black Hills, gdzie widzieliśmy ogromne stado bizonów i cztery "(...)" prezydentów oraz niedokończony pomnik "CRAZY HORSE".

Poznaliśmy białego człowieka, który zrobił większość strojów do "Tańczącego z Wilkami". Białem na sobie, między innymi pancierz, który nosił Costner podczas filmu.

Dużo wrażeń, ale list tego nie odda, dlatego po powrocie do kraju musimy się spotkać (...).

Leon Rzatkowski

Oglala, Pine Ridge, USA

Zupełnie przypadkowo otrzymałam adres do was. Jadąc pociągiem, spotkałam kilka dziewcząt jadących na zlot przyjaźni Indian (nie pamiętam już nazwy miejscowości) i wtrąciłam się do rozmowy, ponieważ bardzo interesuje mnie ta tematyka. Jedna z nich poleciła mi napisać do was i zapewniła, że otrzymam odpowiedź.

Szczerze przyznam, że nie wiedziałam nawet, że w Polsce odbywa się coś takiego, jak te zloty. Chciałabym jak największej dowiedzieć się na ten temat.

Powiedziano mi również, że mogłabym zaprenumerować czasopismo TAWACIN i coś jeszcze (nie pamiętam nazwy). Proszę mi, w miarę możliwości, opisać tę gazetę - bardzo ważne są dla mnie kolorowe zdjęcia! Uwielbiam indiańskie stroje, urodę, sposób bycia. Czuję dla Indian pewien szacunek, są dla mnie prawie Dogami. Od czasu, kiedy zaczęłam czytać o nich książki wydaje mi się, że to od nich wszystko się zaczęło. Ci okropni biali ludzie zawsze wszystko muszą zniszczyć!

Cóż mogę o sobie napisać? Uczę się w Technikum Hotelarskim w Jeleniej Górze (już piąty rok) a mieszkam w Trzebiatowie (woj. szczecińskie). Kocham Indian - to wszystko.

Gośka Ligocka, Trzebiatów

Nie będę pisał o tym jak bardzo podobna mi się Wasze pismo - to zrobiło już wielu ludzi przede mną. Ja chciałbym napisać czegoś mi w tym piśmie brakuje. Oprócz poezji, historii i tematyki aktualnej, myślę, że powinniście dawać więcej artykułów dotyczących życia codziennego, zwyczajów, wierzeń, języka, wyrobów, kultury poszczególnych plemion i ich historii od czasów najdawniejszych do współczesnych.

O ile można tu i ówdzie zdobyć jakieś materiały o Czejenach, Dakotach, Arapach czy Czarnych Stopach to o takich plemionach, jak np. Kruki, Ute, Paunisi czy Seminole informacje są już bardzo trudne do zdobycia. Nawet o Apaczach, Hawajach czy Hopi informacje są naprawdę niewielkie. Nie wspomnę już o takich plemionach jak Mobile, Biloxi, Papago, Miwok, Karok, Molula, Kwakiuti, Ildatsa, Pamunkey, Catawba i wiele, wiele innych, o których informacje bądź mam skąpe, bądź tylko znam ich nazwę i orientacyj-

na siedzibę, nic poza tym. Część z tych plemion wyginęła już w XVIII w., ale myślę, że tym bardziej warto opublikować wszelkie informacje, jeśli tylko są.

Myślę, że niezłym pomysłem byłaby publikacja listy wszystkich plemion indiańskich. Mogłaby ona wyglądać np. alfabetycznie czy też (to chyba byłoby lepsze) w kolejności krajami, gdzie te plemiona obecnie zamieszkują. Oprócz nazwy plemienia mogłaby zawierać obecną i dawną siedzibę, język, i ewentualnie materiały, w których można byłoby szukać informacji o tym plemieniu.

Zdaję sobie sprawę, że praca jest trudna i gigantyczna, ale myślę, że bardzo pożyteczna i możliwa do zrealizowania. O ile się orientuję pełna lista plemion indiańskich obu Ameryk na pewno nie wyszła w Polsce, a może i na świecie.

To tyle jeśli chodzi o ten mój pomysł. Poza tym uważam, że mało drukujecie informacji o plemionach w Kanadzie, Meksyku czy Alasce, a już naprawdę bardzo niewiele jest informacji o Indianach Brazylii, Chile czy Gujany. Jesteście Pismem Przyjaźni Indian, a tam też są Indianie (na Ziemi Ognistej też!).

Mam nadzieję, że te moje narzekania nie weźmiecie sobie zbyt głęboko do serca, tylko pozytywnie wpłyną na kształt tego wspaniałego pisma.

Dariusz Kuchnio, Warszawa

Od Redakcji: Ze względu na naszą niewielką objętość i małą częstotliwość ukazywania się nie jesteśmy w stanie przekazać tak wielu informacji jak byśmy chcieli. Mimo to robimy co możemy i już wkrótce rozpoczniemy cykl poświęcony Indianom najmniej znanym.

Uważnie przeczytałam czasopismo; spodoboby życia, kuchnię i o Babci - Stefani Antoniewicz.

Kuchnia indiańska to dobry pomysł - zaznaczam, że upiekłam chleb z borówkami tyle, że na blasze. Bardzo mi smakował i tym, którzy będą go piec życząc smacznego!

Dobrze się składa, że piszecie o plemionach indiańskich; ja mam dwie prośby: 1 - o indiańskie kobiece, 2 - o Sekwoji - piśmie indiańskim.

Z pozdrowieniem
Maria Głzycka, Krotoszyn

KSIAZKI KSIAZKI KSIAZKI KSIAZKI KSIAZKI KSIAZKI

LITERATURA PIĘKNA

- Michael Blake: *Tańczący Z Wilkami*. Wyl. Aramis. Kraków 1991, cena 29.000,-
Tylko ziemia przetrwa... Mała antologia dawnej i współczesnej literatury Indian Ameryki Północnej. Wybór i oprac. Leszek Michalik. SOK Sztum 1992, cena 29.000,-
 Brian Moore: *Czarna Suknia*. Graffiti. Kraków 1992, cena 31.000,-
 Longin Jan Okoń: *Płonąca pręta*. Powieść o wojnie Czarnego Jastrzębia. Lublin 1990, cena 15.000,-
Dobro będzie ci dane. Zbiór tekstów Indian- skich (poezja i proza). Oprac. W. Retz. Chodzież 1991, cena 12.000,-
 Thomas Berger: *Mały Wielki Człowiek* Wyd. Wojciech Pogonowski. Warszawa 1991, cena 37.000,-

ANTROPOLOGIA

- Ewa Nowicka: *Świat człowieka, świat kultury*. PWN. Warszawa 1992, cena 64.000,-

REKODZIEŁO

- Wiesław K. Niedźwiadek: *Indianie techniki zdobienia koralkami*. Tipi, Wielichowo 1992, cena 13.000,-

PODRÓŻE

- Jan Gać: *W poszukiwaniu Majów*. Wyd. KLIO. Łódź 1992, cena 57.000,-

HISTORIA

- Jan Szczepański: *Dopóki trawa rośnie, dopóki rzeka płynie. Dzięki plemieniu Czejenów 1835-1880*. Warszawa 1990, cena 23.000,-
 Izabella Rusznowa: *Indianie, traperzy i osadnicy w dziejach amerykańskiego Zachodu*. Warszawa 1990, cena 25.000,-
Ameryka Indianka. Spotkanie dwóch światów. (Katalog wystawy) Praca zbiorowa pod red. Janusza Jaskulskiego. Poznań 1992, cena 45.000,-

- Bartolome de Las Casas: *Krótki relacja o wyniszczeniu Indian*. „W drodze” Poznań 1988, cena 17.000,-
 Ewa Nowicka, Izabella Rusznowa: *Indianie Stanów Zjednoczonych*. Antologia tekstów źródłowych. PWN. Warszawa 1991, cena 60.000,-
 W DRODZE nr 11 z 1992, miesięcznik o. dominikanów poświęcony rocznicy 500-lecia ewangelizacji Ameryki, cena 15.000,-

*** PO RAZ PIERWSZY W OFERCIE! ***

- Michał J. Rozbicki: *Narodzinny narodu. Historia Stanów Zjednoczonych do 1861 roku*. Wyd. Interim, Warszawa 1991, cena 50.000,-
 Franz Braumann: *Wśród Indian Guarani. Antonius Sepp von Rainegg 1655-1733*. Wyd. VERBNIUM. Warszawa 1989, cena 15.000,- Biograficzna książeczka o misjonarzu słynnych jezuitach „redukcji” w Paragwaju. Sporo nowych wiadomości o religii chrześcijaństwo i Indianie.
Święty Krzyż. Dawna i współczesna poezja Indian Ameryki Północnej w przekładzie Leszka Michalika. Oprac. Wojciech Retz. Wyd. Grupy Działań Twórczych. Chodzież 1993, cena 13.000,- Kolejny miniaturowy (A7, s.40) tomik poezji z chodzieskiego wydawnictwa, tym razem z grafiką Tadeusza Plotrowskiego.

W cenę książki wliczone są koszty opłaty pocztowej. Prosimy o przedpłatę przekazem lub na konto (tańiej):

Tipi, Marek Maciołek
 ul. Łąkowa 3
 64-050 Wielichowo
 GBW-BIS w Wielichowie
 Rk nr 963549-56531-136

UWAGA: wysyłka książek „za zaliczeniem pocztowym” kosztuje dodatkowo do 10.000 zł. opłaty pocztowej.

Ze względu na termin dostarczenia wpłat przez Bank, realizacja zamówień może trwać do 3-4 tygodni. Aby to przyspieszyć można przesłać zamówienie listem dołączając kserokopię przekazu.

1. Fajka Indian lednicy
 2. Fajka z drewnianym cybuchem
 3. Fajka Indian Dakota
 4. Fajka Indian Dakota
 5. Fajka Indian Równin
 6. Fajka Indian Równin
 7. Fajka Indian Cree

GLINIANE FAJKI
 według oryginalnych wzorów indiańskich
 Kolor czerwono-brązowy.

Fajki nr 1,3,4,5 i 7...Cena 250 tys. zł
 średnia wielkość 13cm X 8cm

Fajki nr 2 i 6.....Cena 280 tys. zł
 średnia wielkość 13cm X 8cm

Fajka nr 5.....Cena 170 tys. zł
 średnia wielkość 7cm X 5cm

Wiesław Karnebal
 ul. Szkolna 9, 62-069 Palędzie
 Opłata przy odbiorze.
 Pokrywam wszelkie opłaty pocztowe.

WARUNKI PRENUMERATY

TAWACIN ukazuje się cztery razy w roku. Cena detaliczna jednego numeru wynosi 15.000 zł, w prenumeracie - 12.000 zł (z opłatą pocztową). Prenumerata na rok wynosi 48.000 zł.

Oferujemy możliwość obniżenia ceny prenumeraty przez wysyłkę pod wspólny adres co najmniej 2 egzemplarzy TAWACINU. Udzielone bonifikaty powodują wówczas obniżenie ceny do:

ilość egz.	cena 1 egz.	cena prenumeraty 1 egz. w 1993
1	12.000 zł	48.000 zł
2	11.500 zł	46.000 zł
3-4	11.000 zł	44.000 zł
5-9	10.500 zł	42.000 zł
od 10	10.000 zł	40.000 zł

Wpłaty należy kierować na konto:

MAREK MACIOŁEK, TIPI UL. ŁĄKOWA 3
 64-050 WIELICHOWO

GBW-BIS W WIELICHOWIE
 RK NR 963549-56531-136

Prosimy dokładnie i czytelnie podawać adres na przekazie oraz czego dotyczy wpłata. Przy zmianie adresu prosimy o informację.

NIE PRZESYLAĆ PIENIEDZY W LISTACH!

